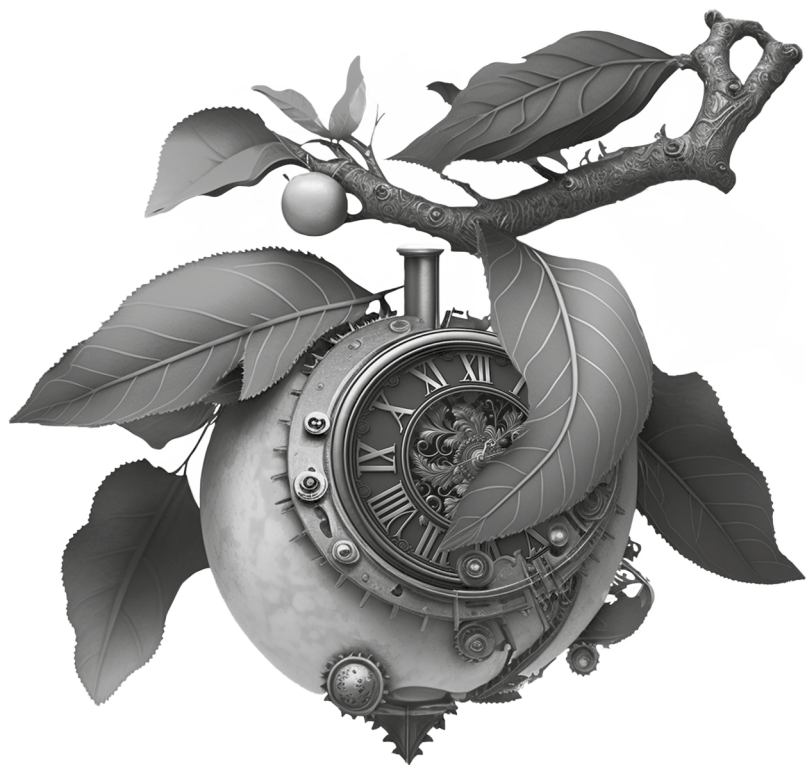


JOANNA MROCZKOWSKA



SMAK BRZOSKWINI

J O A N N A M R O C Z K O W S K A



SMAK BRZOSKWINI



Wydawnictwo Vibe

[Kup książkę](#)

*Pamięci mojego kochanego taty,
z wyrazami wdzięczności za spędzony razem czas.*

*Mojej mamie, cioci i babci Asi,
w podzięk za miłość i niezłomną wiarę we mnie.*

Rozdział I

Rok 2635

Gwałtownie otworzyła oczy. Miała wrażenie, że obudziła się z bardzo długiego koszmaru, choć za nic nie potrafiła sobie przypomnieć, o czym on był. Nosem niemal dotykała wieka szklanej trumny – tak brudnej, że niewiele przez nią widziała. Jej długie włosy pływały chaotycznie w lazurowej wodzie. Połowę jej twarzy zajmowała czarna maska przypominająca tę do nurkowania. Oddychała przez nią szybko, płytko, z wysiłkiem. Oplatały ją rurki podłączone do wenflonów, które umieszczono prawie na każdym centymetrze jej ciała. Ciała, jak zauważyła, nagiego.

Za zakurzoną pokrywą komory dostrzegła sklepienie czarnego urządzenia z trzema rzędami zielonych diod. Wyglądało ono jak tomograf komputerowy z XXI wieku – z wysuwającym inkubatorem dla dorosłych zamiast stołu. Nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Ogarnęła ją panika. Zapragnęła natychmiast stąd wyjść, ale nie mogła poruszyć nawet palcem.

Nim zdążyła pomyśleć, dlaczego ciało jej nie słucha, poczuła ukłucie na karku. Jęknęła bezgłośnie, gdy wszystko zaczęło ją boleć. Zupełnie, jakby coś rozdzierało ją od środka. Wydawało jej się,

że zaraz zemdleje, kiedy nagle te tortury ustały. Gdy głowiła się nad tym, co to za paskudztwo jej właśnie wstrzyknięto, odkryła, że może poruszać palcami, a po chwili rękami i nogami. Doznała olśnienia. Cokolwiek to było, przywróciło jej władzę nad ciałem, choć nadal każdy ruch sprawiał jej taki ból, jaki czuje się przy silnym stłuczeniu.

Zaczęła się szamotać niczym ryba złapana w sieć, chcąc się stąd wydostać. Napędzana adrenaliną przebierała rękami tak długo, aż powyrywała wszystkie wenflony i oswobodziła się z płataniny rurek. Jej krew zabarwiła wodę. Uderzała dłońmi w szklaną pokrywę. Szukała jakichkolwiek wgłębień na jej powierzchni, czegokolwiek, co pomogłoby jej otworzyć to wieko. Trud ten na nic się zdał. Niczego nie znalazła.

Zauważyła, że lampki na sklepieniu kolejno zmieniają kolor – z zielonego na czerwony. Zamarła, gdy zorientowała się, że ubywa wody w tym osobliwym inkubatorze. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Przemknęło jej przez myśl, że to już koniec, że się udusi. Gdy jednak wypompowywanie całego płynu dobiegło końca, szklane pudło wyjechało spod czarnego półkola na szynie, a tuż po tym jego pokrywa zaskrzypiała i się otworzyła.

Zerwała maskę z twarzy i łapczywie nabrała powietrza. Zaniósła się mokrym kaszlem, który doprowadził ją do łez, a potem zwymiotowała na podłogę. Dopiero po tych wszystkich niedogodnościach odetchnęła z ulgą. Cieszyła się, że wciąż żyje.

Przywitała ją cisza. Poczowała przenikliwy chłód i nieprzyjemny zapach chemikaliów, przez który z trudem powstrzymała nawrót mdłości. Pomasowała drżące ramiona. To zdecydowanie nie było miejsce, w którym chciałyby się dobrowolnie znaleźć. Chwilowo jednak nie przejmowała się niczym. Zaledwie parę minut temu sądziła, że umrze. Zaczęła świadomie odczuwać niepokój z powodu

przebywania w takim otoczeniu, dopiero gdy w pełni ochłonęła po traumatycznym przebudzeniu.

Spróbowała usiąść na dość szerokim brzegu inkubatora. Długo to trwało. Czuła się zeszywniała, obolała i słaba. Po zmianie pozycji zakręciło się jej w głowie i znów ogarnęły ją mdłości. Zdołała nad nimi zapanować. Usadowiła się tak, że nogi zwisały jej kilka centymetrów nad podłogą, a potem rozejrzała się za czymś, co mogłaby na siebie włożyć. Niczego takiego nie było jednak w pobliżu.

Znajdowała się w klaustrofobicznym pomieszczeniu o szarych ścianach. Jeśli widziała tu cokolwiek, to tylko dzięki delikatnym niebieskim światelkom umieszczonym w każdym kącie. Trzy czwarte przestrzeni zajmował tomograf ze szklaną trumną, a pozostałą jej część – wnęka, w której znajdowały się rozsuwane drzwi.

Obrzydzało ją to, że wszystko tutaj tonęło w kurzu. Nie uszły jej uwadze także gęste pajęczyny wypełniające większość wolnej przestrzeni. Pokonała swój wstręt i przyjrzała się zagadkowej aparaturze. Przecierała dłonią pokrętła, diody i krawędzie. Gdy zastanawiała się, co do czego służy, zwróciła uwagę na napis wygrawerowany na wieku inkubatora:

Zofia Bystrzycka

Najpierw się zdziwiła, a później poczuła nieswojo. W tym momencie odniosła nieprzyjemne wrażenie, że to coś stworzono specjalnie dla niej. Zapragnęła zrozumieć, co się stało i co robiła, zanim obudziła się w tym dziwnym inkubatorze, w tym obskurnym miejscu.

Na początku nie potrafiła sobie niczego przypomnieć, jakby jej życie zaczęło się dopiero teraz. Z każdą kolejną minutą powracały do niej wspomnienia. Najpierw niewyraźne i chaotyczne, później

coraz bardziej realistyczne i poukładane. Jak gdyby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj.

Domyślała się, co się stało po tym, jak straciła przytomność. Nie miała tylko pojęcia, kto za to odpowiadał ani dlaczego w ogóle ją to spotkało. Im intensywniej patrzyła na swoją „trumnę”, tym gorsze miała przeczucia.

Jak długo w tym czymś leżałam? Który dziś dzień?

Poczuła strach, gdy jej umysł zalała fala możliwych scenariuszy. Poczuła frustrację, że nie może zweryfikować żadnego z nich. Poczuła silną potrzebę opuszczenia tej sali i powrotu do domu. Za wszelką cenę.

Obrała za cel dotarcie do drzwi poprzedzonych kwadratowym podwyższeniem. Teoretycznie prosta sprawa, gdyby nie fakt, że kręciło jej się w głowie i czuła ból całego ciała. Obawiała się, że jak tylko wstanie, to od razu upadnie na podłogę – tak brudną, jakby nie myto jej całe wieki. Ale nie miała wyboru.

– O cholera... – jęknęła chrapliwym głosem, gdy prąd przebiegł po jej ciele przy próbie wyprostowania się.

Zacisnęła zęby, złapała się mocno rękami za brzeg inkubatora, nabrała powietrza i wstała. Kolana natychmiast się pod nią ugięły. Stęknęła, gdy wylądowała na lodowatej podłodze. Skrzywiła się na widok kurzu, który się do niej przylepił. Zignorowała to i ponownie spróbowała się podnieść. Przeszła cztery bolesne upadki, zanim udało jej się stanąć na dygoczących nogach i utrzymać równowagę. Zrobiła jeden krok, potem drugi, trzeci. Ulżyło jej, że nie zapomniała, jak się chodzi. Brakowało jej tylko siły w mięśniach.

Kiedy wkroczyła na ciemnoczerwone pole przed drzwiami, przeświekliły ją lasery, które wystrzeliły znikąd. Zamarła zaskoczona. Usłyszała nieprzyjemny dźwięk przypominający ostrzeżenie systemowe, a potem – na czarnym panelu obok – ujrzała migoczący napis:

Użytkownik: H-01.

Wyjście niemożliwe.

Wypij uzupełniające serum, aby opuścić hibernatorium.

Dreszcz przebiegł jej po plecach na widok hasła „hibernatorium”. Mimowolnie spojrzała na inkubator. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że gdyby hibernacja była możliwa, to tak mogłoby wyglądać potrzebne do tego urządzenie. Poza tym takie ilości pajęczyn i kurzu również świadczyły o upływie dłuższego czasu.

Przez kolejną minutę stała pod drzwiami nieruchomo, zmrożona szokiem. Otrząsnęła się z niego dopiero wtedy, gdy uznała, że musi znaleźć więcej dowodów, by uwierzyć w coś tak nieprawdopodobnego jak hibernacja.

Znów skupiła się na drzwiach. Chciała je otworzyć mimo wcześniejszego komunikatu. Gdy nie znalazła żadnej klamki, guzika, skanera czy choćby łomu, którym mogłaby sobie z nimi poradzić, rozejrzała się za serum, które rzekomo musiała wypić. Niczego takiego nie zauważyła. Żadnych butelek, ampulek, szklanek. Poczula frustrację i przerażenie na myśl, że zgnije w tej zapyziałej sali.

Zmęczona wysiłkiem usiadła z powrotem na inkubatorze. Przesuwając nerwowo rękoma po jego brzegu, nacisnęła dłonią zakurzony przycisk z drobnym napisem – „dotknij tutaj”, którego nie zauważyła wcześniej. Wystraszyła się. Nasłuchiwała w napięciu, czy coś się poruszy lub otworzy. Serce niemal wyskoczyło jej z piersi, gdy kilka sekund później poczuła uderzenie w piętę. Zerknęła w dół i ujrzała niewielką szufladę, która wysunęła się z podstawy szklanej trumny.

Rzuciła okiem na jej zawartość. Leżała w niej podłużna fiolka, szczelnie zapakowana w grubą folię i wypełniona gęstym niebieskim płynem. Nie wyglądał on na zatny do picia. Z niepokojem

przeczytała napis wygrawerowany w metalowej etykietce, która leżała pod spodem:

Uzupełniające serum regeneracyjno-oczyszczające.

Wypić całą zawartość niezwłocznie po przebudzeniu z hibernacji.

Na widok kolejnej przesłanki o hibernacji zrobiło jej się słabo. Modliła się w duchu, by to był tylko jakiś podły żart. W przeciwnym razie istniało spore ryzyko, że nawet jeśli uda jej się stąd wyjść, to może nie mieć dokąd wracać. Wizja ta przeraziła ją na tyle mocno, że natychmiast ją odrzuciła. Potrzebowała więcej dowodów.

Zauważyła ruch na ścianie – w miejscu pod czarnym łukiem tomografu, gdzie jeszcze kilkanaście minut temu spoczywała jej głowa. Podeszła bliżej, by się temu przyjrzeć. Brud i słabe oświetlenie nie ułatwiały jej zadania. Mrużyła oczy tak długo, aż ujrzała mechaniczny licznik. Przetarła dłonią jego obracające się obręcze i dostrzegła, że wskazują datę i dokładną godzinę. Nie mogła uwierzyć w to, co z nich odczytała:

20.05.2635

13:02

Przeżyła wstrząs. Nie była przygotowana na taki dowód hibernacji ani na to, jak długo ona trwała.

– To niemożliwe – jęknęła rozpaczliwie. – Nie mogło minąć pięćset lat!



Nie potrafiła zaakceptować tego, co właśnie odkryła. Ogarnęło ją przerażenie, że to może być prawda. Oznaczałoby to, że Varsa i w ogóle cały świat, do którego przywykła, już nie istnieją. Ludzie, których znała, nie żyją. Plany i marzenia, które miała – straciły rację bytu. Zostałaby sama w nieznannej rzeczywistości, w zupełnie innych czasach i w zdecydowanie nieciekawym położeniu. Szybko wyparła z umysłu taką ewentualność.

Uznała, że ten licznik musi być zepsuty. Mimowolnie wymyślała coraz bardziej nieprawdopodobne scenariusze. Każde wyjaśnienie było lepsze od zaakceptowania faktu, że przespała w tamtej lodówce pół tysiąclecia. I choć nie wierzyła zaudto w to, co podpowiadała jej wyobraźnia, zdołała się dzięki temu uspokoić.

Zdeterminowana, by stąd wyjść i poznać prawdę, sięgnęła po fiolkę z niebieskim płynem, który śmierdział jak benzyna. Pokonała obrzydzenie i wypila serum jednym haustem. Spodziewała się wszystkiego – bólu, paraliżu, a nawet śmierci. Ku swemu zdumieniu odkryła, że z każdą sekundą czuje się coraz lepiej. Po chwili lekkiego mrowienia w ciele mogła już nie tylko bez trudu wstać, ale także swobodnie się poruszać. Zniknęły sztywność i słabość mięśni, zawroty głowy i mdłości, a także rany po wenflonach. Zosia odetchnęła. Domyśliła się, że pierwszą dawkę takiego serum otrzymała, gdy poczuła tamto ukłucie, ale potrzebna była jeszcze dawka uzupełniająca, by w pełni przywrócić jej sprawność.

Ostrożnie wkroczyła na podwyższenie przed wyjściem. To samo co wcześniej. Modliła się w duchu, aby wypite serum rzeczywiście otworzyło te drzwi. Lasery ponownie ją zeskanowały. Rozległ się donośny sygnał. Tym razem zabrzmiał inaczej, pozytywnie. Po kilku

sekundach niepewności, które wydały jej się wiecznością, czarne wrota się otworzyły.

Po drugiej stronie ujrzała jedynie ciemność, która nie zachęcała do zwiedzania kolejnej sali. Mimo to Zosia poczuła ulgę, że może opuścić tę klitkę z rzekomym hibernatorem podpisanym jej nazwiskiem. Schowała swój strach do kieszeni i ostrożnie przekroczyła próg.

Drgnęła, gdy niespodziewanie zapaliły się białe światła. Jedno z nich mrugało, wydając z siebie specyficzny odgłos, który za każdym razem mroził jej krew w żyłach. Zmrużyła oczy, a kiedy przyzwyczaiła się do jasnego oświetlenia, ujrzała trzy połączone ze sobą szklane komory. Wyglądały jak zakurzone prostokątne kabiny prysznicowe. Każda z nich otwierała się zarówno z przodu, jak i z tyłu. Za tą ostatnią Zosia dostrzegła czarne drzwi. Takie same jak te, które właśnie przekroczyła. Także tutaj pajęczce sieci znajdowały się wszędzie i cuchnęły chemikaliami. Ponadto grube, metalowe igły zdobiły ciemne ściany i sufit, co przypominało kolczastą pułapkę, która tylko czeka, aby pozbyć się niechcianych gości.

Poczuła niechęć na samą myśl, że musi przejść przez te trzy brudne kabiny, aby dostać się do wyjścia. Odnosiła wrażenie, że jak tylko wejdzie do pierwszej z nich, to zostanie w niej zamknięta i wystawiona na jakąś próbę. Co gorsza, kolczaste ściany mogły zacisnąć się na niej niczym szczęki i zamienić jej obnażone ciało w sito, jeśli zrobi coś nie tak. Musiała jednak iść dalej.

Gdy tylko wkroczyła do pierwszej komory, drzwi za nią się zamknęły. Wstrzymała oddech. Z niewidocznych otworów w szkle trysnęła zielona pianka, która oblepiła jej ciało, a potem z górnej części kabiny popłynęła woda. Najpierw zbyt gorąca, później zbyt zimna. Kiedy spadła ostatnia kropla, na niewielkim panelu wbudowanym w ścianę komory wyświetlił się napis informujący

o pomyślnym zakończeniu pierwszego etapu dezynfekcji, po czym otworzyły się drzwi do kolejnej kabiny.

Odetchnęła, że był to tylko prysznic, na który miała ogromną ochotę od samego momentu przebudzenia. Po chwili znów się spięła. Nie wiedziała, co czeka ją dalej.

Z duszą na ramieniu weszła do drugiej komory. Ta zamknęła się równie nagle co poprzednia, a potem ogłuszyła Zosię głośnym szumem połączonym z silnym podmuchem gorącego powietrza. Wiało zarówno od dołu, jak i z góry. Odruchowo zatkała uszy i zacisnęła powieki. Po dwóch minutach intensywnego nawiewu zawory się zamknęły. Otworzyły się za to kolejne drzwiczki, tuż po drugim pozytywnym komunikacie na panelu.

Jednym ruchem odgarnęła swoje suche, rozczochrane włosy i niewiele myśląc, wślizgnęła się do ostatniej kabiny, gotowa na wszystko. Nic się tu jednak nie stało. Nie było żadnych pryszniców ani naświetleń. Najdziwniejsze okazało się to, że drzwi na zewnątrz nie stawiały oporu. Otworzyły się od razu, gdy ich dotknęła.

Zdziwiona tą sytuacją zerknęła na panel w tej komorze i wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła napis, który właśnie się na nim pojawił:

Trzeci etap dezynfekcji zakończony niepowodzeniem.

Nastąpi zamknięcie wszystkich drzwi i uruchomienie procedury odfekowania całego pomieszczenia.

W przypadku nieusunięcia źródła skażenia zostanie uruchomiona...

Dalej już nie przeczytała, ponieważ komunikat zamrugał i zniknął. Jednocześnie rozległ się alarm, któremu towarzyszyły rozbłyśki czerwonych kogutów nad wyjściem z sali. Oprócz mrozącego

krew w żyłach sygnału, przypominającego ten nuklearny, usłyszała syntezaatorowy żeński głos.

– Uwaga, skażenie! Aktywacja procedury autodestrukcji bazy za sześćdziesiąt minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

– Co takiego?! Chyba sobie jaja robicie!



Nie miała pojęcia, co to za miejsce, dlaczego została uznana za źródło skażenia ani czemu zamiast dezynfekcji tego pomieszczenia włączyła się autodestrukcja całej bazy. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to wniosek, że nikt tu nie zaglądał przez wiele lat i system sterujący nie działał z tego powodu prawidłowo.

Nie zamierzała zignorować takiego ostrzeżenia. Wybiegła z kabiny i od razu potknęła się o niewielki, przykryty dywanem kurzu stopień. Nie zdołała wyhamować impetu i upadła na zimną podłogę. I tak po jej chwilowym uczuciu czystości pozostało tylko wspomnienie. Mimo wszystko nie miała czasu na przejmowanie się swoim wyglądem. Szybko się podniosła i podbiegła do czarnych drzwi.

Tak samo jak przy poprzednich – zeskanowały ją lasery. Ponownie usłyszała pozytywny sygnał, a wrota się otworzyły, ale... tylko na centymetr. Zacięły się. Zosia zamarła. Z nerwów zadrżały jej ręce i nogi.

– Nie... Tylko nie to!

Okiełznała przyływ paniki i zastanowiła się, jak poszerzyć przejście. Przypomniała sobie o widłowych ozdobach na ścianach. Podbiegła do nich. Zlokalizowała jeden szpikulec, który wyglądał, jakby miał zaraz odpaść, i oderwała go. Na jednym końcu grubością dorównywał kijowi bejsbolowemu, a na drugim był cieńszy od długopisu. Wróciła do drzwi, a potem użyła ciężkiego pręta jak łomu.

Zadziałało. Rozchyliły się one na tyle, że Zosia zdołała się przez nie przecisnąć.

Od razu zauważyła wyjście z bazy, mające ze cztery metry szerokości i tyle samo wysokości. Solidne opuszczane drzwi znajdowały się dokładnie naprzeciwko niej, w odległości kilku kroków. Nad nimi mrugały czerwone koguty.

– Uwaga, skażenie! – odezwał się ten sam głos. – Autodestrukcja bazy za pięćdziesiąt minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Nie zwlekała. Zlokalizowała panel na odcisk dłoni i skaner siatkówki po lewej stronie od drzwi oraz dużą, żółtą korbę do awaryjnego otwierania po prawej. Przetarła ekran i przyłożyła do niego dłoń, a następnie zeskanowała swoje oko. Ucieszyła się, gdy usłyszała pozytywny odzew. Oczekiwała, że drzwi się teraz otworzą. Niestety zamiast tego przecięła ją laserowa sieć – z góry na dół. Wystraszyła się. A jeszcze bardziej przeraził ją napis, który wyświetlił się na panelu:

Wykryto brak generatora osłony termotlenowej.

Wyjście niemożliwe. Grozi natychmiastową śmiercią.

Załącz swój generator osłony termotlenowej i ponów
procedurę otwierania drzwi.

Zazgrzytała zębami ze złości. Znowu jakieś utrudnienia. Nie miała czasu na zwłokę. Musiała stąd jak najszybciej wyjść. Podeszła do korby z zamiarem ręcznego otworzenia drzwi i... porzuciła ten pomysł.

Co jeśli naprawdę przespałam pięćset lat, a warunki na zewnątrz stały się niezdadne do życia?

Ponownie spojrzała na panel otwierający drzwi. Odgarnęła kurz z pozostałej jego części, szukając jakichś wskazówek odnośnie do

generatora, który miała założyć. Zamiast nich zlokalizowała parametry środowiska zewnętrznego i poczuła zimny dreszcz.

Nie była klimatologiem ani lekarzem, ale wystarczająco dużo wiedziała o świecie, by stwierdzić, że żaden człowiek nie przeżyje w takich warunkach. Nie przy takim stężeniu dwutlenku węgla i tlenu. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Nawet jeśli rzeczywiście minęło pięćset lat, to klimat i skład atmosfery nie zmieniają się tak szybko. Albo upłynęło znacznie więcej czasu niż pół tysiąclecia, albo ten panel pokazywał nieprawdziwe dane. Liczyła na to drugie.

Nie znalazła żadnej informacji o generatorze na ekranie, więc rozejrzała się nerwowo po tym wąskim pomieszczeniu, które przypominało korytarz zakończony dwiema ślepymi uliczkami. Za nią znajdował się rząd drzwi. Naliczyła ich dwadzieścia, z czego jedno niedawno osobiście otworzyła pseudolomem. Na ścianach widziała jedynie zakurzone ekrany i migające przyciski. Jasne światła na suficie mrugały jak szalone. Zosia nie czuła się tu dobrze. Zwłaszcza że alarm był coraz głośniejszy.

– Uwaga, skażenie! Autodestrukcja bazy za czterdzieści minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Drgnęła. Przedarła się przez pajęczyny i pobiegła w stronę jednego końca korytarza. Na miejscu zauważyła modułowe, srebrne szafki, które zajmowały całą ścianę. Ku swemu zdumieniu Zosia odkryła, że jest ich dokładnie tyle, ile wcześniej naliczyła drzwi. Wszystkie skrytki podpisano, grawerując imiona i nazwiska w metalowych tabliczkach.

Przeszedł jej po plecach dreszcz, gdy zrozumiała, co to oznacza. Nie tylko ją tu umieszczono. Pozostałe drzwi i szafki były zamknięte, więc prawdopodobnie ci ludzie jeszcze stąd nie wyszli. Przeraziła ją myśl, że jeśli ten alarm jest prawdziwy, to oni wszyscy zginą.

W pierwszym odruchu chciała coś z tym zrobić, sprawdzić swoje przypuszczenia, ale instynkt jej podpowiadał, że to samobójstwo. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie zdąży ich ani obudzić, ani wyprowadzić z bazy. Nawet nie wiedziała, jak to zrobić.

Muszę o nich zapomnieć.

Gdy przekonała samą siebie, że nie ma czasu na wahanie, od-
szukała szafkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Zamykał ją panel
na odciski palców i skaner siatkówki. Uporała się z tym szybko.

W środku znalazła różne rzeczy zabezpieczone przezroczystymi opakowaniami, których nigdy nie widziała na oczy. Wyglądały jak folia aluminiowa, ale zachowywały się jak guma. Okazały się na tyle solidne, że nie zdołała ich rozerwać palcami ani zębami. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy złamała pieczęcie zabezpieczające. W ten sam sposób, w jaki zrywano te woskowe na archaicznych zwojach.

Opakowania zawierały: bieliznę, czarne spodnie i bluzę, sportowe buty oraz kwadratowe pudełko z metalu o wielkości standardowego zeszytu. Pospieszenie się ubrała, nie zważając na to, że cała była w kurzu i pajęczynach. Następnie sięgnęła po pudełko w nadziei, że w środku będzie generator, który musi założyć.

Po zdjęciu wieka zobaczyła kilka różnych przedmiotów. Niestety żaden z nich nie był tym, czego teraz potrzebowała. Jakby tego było mało – widok jednej rzeczy nią wstrząsnął.

Od razu rozpoznała złoty wisiołek wielkości pięciogroszówki w kształcie owocu brzoskwini z jednym listkiem, umieszczony na kulkowym łańcuszku. Zgubiła go lata temu. Próbowала sobie wytłumaczyć, jak to możliwe, że znalazła tę biżuterię akurat teraz, akurat w tej bazie, akurat w tym pudełku. Bezskutecznie.

Poza tym niespodziewanym przedmiotem natrafiła także na: czarne urządzenie przypominające pendrive z XXI wieku, w którym

rozpoznała e-pamiętnik, nieduże, złote kolczyki w kształcie kóelek, które miała w uszach przed utratą przytomności, i ofoliowaną kartkę, na której została wydrukowana niepodpisana notatka na całą stronę. Zosia zerknęła na jej początek:

Pamiętaj, że przyszłość naszej planety jest ukryta właśnie tutaj. W naszych głowach, w naszych działaniach, w naszych wyborach. Jeśli nie zaczniemy poważnie myśleć o powstrzymaniu ocieplania się klimatu...

Nie czytała dalej. To brzmiało jak materiał edukacyjny z połowy XXI wieku. Usiłowano wówczas uświadomić społeczeństwo, że katastrofa klimatyczna to nie jest wymysł naukowców. Nauczyć, co trzeba zrobić, żeby jej zapobiec. Zosia codziennie doświadczała na własnej skórze skutków niepowodzenia tejże akcji. Uznała, że ta bezużyteczna w jej sytuacji kartka znalazła się tu przypadkowo, i nie przywiązała do niej większej wagi.

Pospiesznie włączyła e-pamiętnik – w nadziei, że usłyszy jakąś wskazówkę. Przez chwilę czekała na jakikolwiek dźwięk. Na próżno. Urządzenie wyglądało na zepsute. Mimo to nie wyrzuciła go.

– Uwaga, skażenie! Autodestrukcja bazy za trzydzieści minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Złowrogi komunikat przypomniał jej, że to nie jest najlepszy moment na oglądanie rzeczy z szafki. Poczula kolejny przypływ adrenaliny. Zamknęła pudełko jednym ruchem i pobięła na drugi koniec korytarza. Po drodze z rozpaczą patrzyła na wszystkie zamknięte drzwi i walczyła ze sobą, aby przy żadnych się nie zatrzymać.

Natrafiła na niedużą szafę z wysuwanymi szufladami. Otworzyła tę podpisaną jej nazwiskiem i czym prędzej sprawdziła zawartość. Dostrzegła dwa tytanowe pojemniki zabezpieczone znany

jej już pseudoaluminiowym materiałem, klejonym dodatkowo bąbelkami.

W pierwszym z nich znalazła owalne, płaskie, czarne urządzenie. Miało najwyżej pięć centymetrów średnicy. Cechowało się okrągłym wgłębieniem na środku oraz zielonym przyciskiem umieszczonym na samym brzegu.

W drugim pojemniku, oznaczonym dodatkowo logotypem „GOT”, znajdował się owalny dysk z diodą na środku. Grubością i rozmiarem dorównywał pięciozłotówce. Poniżej krążka Zosia zobaczyła coś, co wyglądało jak zatyczki do nosa wykonane z identycznego tworzywa.

Na szczęście nie musiała zgadywać, co to jest ani do czego służy. Na spodzie drugiego pudełka znalazła ofoliowaną i złożoną w harmonijkę notatkę. Dowiedziała się z niej, że patrzy na generator osłony termotlenowej oraz jego ładowarkę. Z długiej instrukcji obsługi zapamiętała jeden najważniejszy fragment:

Generator osłony termotlenowej (GOT)

Urządzenie generujące dwie osłony: termiczną i tlenową.

Osłona termiczna ma formę niewidocznej, energetycznej powłoki, utrzymującej się na skórze przez cały czas.

Chłodzi ciało użytkownika do poziomu optymalnej temperatury i utrzymuje ją na stałym poziomie, niezależnie od warunków zewnętrznych. Z racji swej niematerialnej formuły osłona ta nie chroni przed urazami fizycznymi ani nie może zostać w ten sposób uszkodzona.

Osłona tlenowa polega na generowaniu tlenu i dostarczaniu go użytkownikowi za pośrednictwem nosków tlenowych. Ponadto chroni przed zbyt wysokim/ niskim stężeniem tlenu i dwutlenku węgla oraz

nieznanymi, potencjalnie niebezpiecznymi bakteriami i wirusami, zawartymi w powietrzu.

Uruchamianie

Włącz przycisk na środku dysku.

Poczekaj, aż zapali się jego dioda: kolor zielony – działa, kolor czerwony – nie działa.

Jeśli dioda jest zielona: przyłóż dysk do lewej lub prawej skroni. Poczekaj, aż GOT przyczepi się odpowiednio do skóry i włączy. Nastąpi automatyczne ustawienie osłony (zaktualizuje się po każdorazowym zetknięciu z nowymi warunkami atmosferycznymi). Załóż noski tlenowe na oba płatki nosa, gdy pokaże się odpowiedni komunikat. Poczekaj na potwierdzenie zakończenia procedury uruchamiania urządzenia.

Jeśli dioda jest czerwona: podłącz GOT-a do ładowarki.

Pod żadnym pozorem nie używaj urządzenia.

Ładowanie

GOT-a trzeba ładować minimum co 14 dni specjalną ładowarką. W celu naładowania generatora podłącz urządzenie do ładowarki i uruchom ją zielonym przyciskiem. Proces ładowania trwa 8 godzin.

Aktualny poziom energii akumulatora GOT-a wskazuje pasek widoczny przez cały czas w lewym dolnym rogu pola widzenia. Ostatecznym sygnałem, że trzeba go podłączyć, jest mruganie zielonej diody (12 godzin do rozładowania).

Użytkowanie

GOT to urządzenie indywidualne – skonstruowane na zamówienie dla konkretnej osoby. Można używać tylko swojego egzemplarza. W przypadku założenia

GOT-a przypisanego innemu użytkownikowi urządzenie nie będzie działać.

Zdumiała się, że ktoś stworzył takie skomplikowane i użyteczne urządzenie, a potem poczuła niepokój. Martwiła się, czy GOT rzeczywiście działa w ten sposób, czy został przetestowany i czy w ogóle się uruchomi po tak długim czasie. Zwłaszcza że do dyspozycji miała tylko jeden egzemplarz.

– Uwaga, skażenie! – Alarm zmienił tonację na wyższą, a jego tempo przyspieszyło. – Autodestrukcja bazy za dwadzieścia minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Zakłęła, że zostało tak mało czasu na ucieczkę. Zgodnie z instrukcją wcisnęła przycisk GOT-a i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że dioda zaświeciła się na zielono. Drżącymi rękami przyłożyła mały dysk do prawej skroni i zdziwiła się, jak mocno on do niej przylgnął. Od razu dostrzegła pasek w lewym dolnym rogu swego pola widzenia – informujący o tym, że zostało czternaście dni do rozładowania. Nad nim widniały dane na temat warunków zewnętrznych oraz czerwony napis, z którego dowiedziała się, że musi założyć noski tlenowe, by GOT zaczął działać poprawnie. Kiedy wykonała to polecenie, odniosła podobne wrażenie do tego, jakie towarzyszyło jej po posmarowaniu ciała odżywczym balsamem. Miała coś na skórze, dopóki to coś się nie wchłonęło. Ponadto powietrze wydało się jej świeższe, a samo oddychanie – przyjemniejsze. Zadziwiło ją to, że nie czuła GOT-a na sobie. Nie przeszkadzał jej ani dysk na skroni, ani noski tlenowe na płatkach nosa. Po minucie od założenia tych drugich ujrzała potwierdzenie, że GOT działa prawidłowo i jest już bezpieczna.

Odetchnęła, po czym od razu wzięła ładowarkę, marudząc pod nosem, że przydałaby się jakaś torba, by tego wszystkiego nie zgubić,

a potem pobiegła do drzwi wyjściowych i powtórzyła procedurę ich otwierania. Tym razem zakończyła się ona sukcesem i wrota zaszkrzypiały.

Gdy śledziła ich podnoszenie się, czuła, jak stres usztywnia jej ciało. Wsluchiwała się w głośnie cykanie zębatek, modląc się w duchu, by ten dźwięk nie ucichł przedwcześnie.

– Uwaga, skażenie! Autodestrukcja bazy za piętnaście minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Spoczęła jej się dłoń, kiedy pojęła, że to już ostatnie minuty. Zdziwiła się, gdy dziesięć metrów za drzwiami ujrzała kolejne, identyczne. Podbiegła do nich, a potem powtórzyła wszystkie niezbędne czynności na kolejnym panelu i skanerze siatkówki. Obyło się bez problemów. Wrota za nią zaczęły opadać, a te przed nią – podnosić się.

Jak tylko powietrze na zewnątrz wymieszało się z tym w środku, zauważyła nowy komunikat GOT-a, który wskazywał warunki niemożliwe do życia. Dokładnie takie, jakie odczytała wcześniej z ekranu. Przerazona wstrzymała oddech. Ale gdy nic się nie zaczęło z nią dziać, wypuściła wstrzymywane powietrze. Czuła się świetnie, mimo iż teoretycznie powinna już nie żyć. Nie doskwierał jej zabójczy upał ani nie miała problemów z oddychaniem.

– Uwaga, skażenie! Autodestrukcja bazy za dziesięć minut. Zalecana niezwłoczna ewakuacja.

Przebierała niecierpliwie nogami. Poganiała w myślach drzwi, które w jej mniemaniu otwierały się w żółtym tempie. Zamarła, gdy nagle zacięły się na wysokości niespełna połowy metra. Bez wahania rzuciła się na podłogę. Przeczółgała się na drugą stronę i pobiegła przed siebie – ciemnym, wydrążonym w skale tunelem, który prowadził w dół.

Potknęła się o schodek, którego nie mogła zauważyć w tych warunkach, i upadła jak długa. W ostatniej chwili podparła się

dłońmi, upuszczając wszystko, co w nich trzymała. Stęknęła z bólu. Podniosła się pod wpływem adrenaliny, a potem w panice macała podłogę w poszukiwaniu zguby.

Od razu natrafiła na wisiołek i e-pamiętnik – wypadły z pudełka, które otworzyło się po zderzeniu z podłożem. Badała okolicę dalej. Nie dbała o to, gdzie są jej kolczyki i ofoliowana kartka, ale chciała znaleźć ten najważniejszy przedmiot. Nadaremnie. Ładowarka do GOT-a musiała upaść gdzieś dalej.

Gdy usłyszała stłumione odliczanie ostatnich pięciu minut do autodestrukcji bazy, natychmiast porzuciła dalsze poszukiwania. Zerwała się do biegu, raz po raz przeklinając w duchu swoją nieostrożność. Była boleśnie świadoma, że przez ten błąd może stracić życie za czternaście dni. Mimo wszystko wołała mieć te dwa tygodnie, niż umrzeć już teraz. Parła więc naprzód, jakby gonił ją sam diabeł.

Ujrzała smugę światła u wylotu tej osobiwej jaskini. Przedarła się przez szare liany i wysokie chaszczce zarastające wyjście, po czym wstrząsnął nią widok najprawdziwszego lasu deszczowego. Zwalczyła w sobie odruch zatrzymania się na chwilę. Musiała się oddalić od bazy, zanim ta wybuchnie. Zadanie to utrudniało miękkie podłoże. Jej stopy zapadały się w błotnistym terenie porośniętym wysokimi zaroślami. Dodatkowo młode pędy palm cięły jej skórę niczym papier przy każdym ruchu. Nie zważała na nic. Myślała tylko o tym, by biec przed siebie.

Ledwo zdążyła dotrzeć do drzew kilkanaście metrów dalej, gdy rozległ się ogłuszający huk eksplozji. Fala uderzeniowa odrzuciła Zosię w głąb lasu i cisnęła nią o pobliską palmę, pozbawiając ją tym samym przytomności.

Rozdział 2

Rok 2135

Usłyszała uporczywe miauczenie. Na jej zaspanej twarzy namalował się grymas niezadowolenia, gdy rudy kot wskoczył na łóżko, a następnie na nią. Nie poruszyła się. Ignorowała ciężar łapek na swoim ciele aż do chwili, w której mokry nosek futrzaka dotknął jej prawego policzka. Mruknęła w proteście i wcisnęła twarz w poduszkę. Jej brązowe włosy chaotycznie rozsypały się na białej poszewce.

O nie, jego wysokość Głodomór Pierwszy już się obudził... Cholera. Chcę jeszcze pospać!

Kocur nie dał za wygraną. Głośno wyraził, czego chce – wprost do jej ucha. Wzdrygnęła się, obróciła głowę i uniosła jedną powiekę. Z wyrzutem spojrzała w złote oczy, które wpatrywały się w nią z nadzieją. Z nadzieją, że pusta miska w kuchni rychło się zapełni. Przeniosła wzrok na elektroniczny zegar naścienny. Czerwone cyfry wyświetlały szóstą rano. Westchnęła przeciągle, wtulając się z powrotem w poduszkę.

– Spadaj, kocie. Dziś mam wolne. – Delikatnie go odepchnęła. – Jadłeś o trzeciej w nocy. Wytrzymasz do dziesiątej.

Odwróciła się na drugi bok. Cienka kołdra zsunęła się z jej prawego barku, odsłaniając nieduży, czerwono-czarny tatuaż w kształcie rozwiniętej róży ogrodowej z wygiętą kolczastą gałązką i kilkoma liśćmi.

Kocur o przegowanej sierści zdecydowanie nie zgodził się z nią w kwestii czekania na śniadanie do dziesiątej. Przeskoczył przez nią i uparcie muskał łapką jej policzek. Zamiast wcześniejszych pojedynczych miauknięć rozpoczął ciągłą serenadę. Przekaz tej kociej pieśni był aż nadto jasny.

– Dobra! Cicho już, Rudy. Zaraz dostaniesz. – Podniosła się do pozycji siedzącej. – Zadowolony?

Kot odpowiedział jej tym razem krótkim mruknięciem wyrażającym pełną aprobatę. Zeskoczył z łóżka i od razu podreptał do kuchni – z wysoko podniesionym ogonem. Odprowadziła go morderczym wzrokiem.

Po jakie лихо pół roku temu przygarnęłam tego darmozjada ze schroniska, skoro lubię długo spać? Gdzie wtedy podziałam swój rozum?

Potarła powieki i niechętnie usiadła na brzegu materaca. Jęknęła, gdy poczuła narastający ból głowy po zmianie pozycji. W tym momencie już wiedziała, że to nie będzie dobry dzień.

– Viga, pobudka – mruknęła zaspanym głosem.

Ustawiła to hasło ponad pięć lat temu, kiedy zaczęła wynajmować tę kawalerkę. Aktywowało ono zintegrowaną z tym mieszkaniem wirtualną asystentkę domową – sztuczną inteligencję najniższej klasy F, w której nie instalowano funkcji samostanowienia i uczenia się. W przeciwieństwie do SI wyższych kategorii. Zosia nie narzekała na ten stan rzeczy. Podobnie jak wielu innych konsumentów nie miała zaufania do zbyt inteligentnych maszyn czy programów.

WAD ułatwiała zarządzanie nieruchomością i dbała o jej bezpieczeństwo. Stanowiła logiczną ewolucję usługi smart home z XXI wieku. Dla wygody lokatorów każdy egzemplarz otrzymywał imię.

Zdecydowanie szybciej wymawiało się na przykład Viga niż WAD
SI: F13-3400-299845.

– Dzień dobry, Zosiu. Dziś jest dwudziesty grudnia dwa tysiące sto trzydziestego piątego roku. Godzina szósta piętnaście – odezwał się altowy beznamiętny głos. – Aktualnie temperatura w Var-sie wynosi dwadzieścia sześć stopni Celsjusza. Około południa prognozuje się trzydzieści pięć, a wieczorem dwadzieścia osiem. Wiatr południowy. Obecnie wieje z prędkością osiemdziesięciu ki-lometrów na godzinę. Będzie się nasilał w ciągu kolejnych godzin. Poziom zanieczyszczenia powietrza: czerwony. Wymagane założe-nie maski filtrującej.

– A kiedy nie było wymagane? – mruknęła ironicznie.

– Ostatni taki dzień zarejestrowano piątego lipca dwa tysiące osiemdziesiątego drugiego roku...

– Stop! To nie było pytanie.

– Przyjęłam. Kontynuuję prognozę pogody. Wydano ostrzeże-nie drugiego stopnia przed burzą z opadami kwaśnego deszczu. Obowiązuje od godziny dziesiątej rano do odwołania. Uwaga! Ak-tualizacja ostrzeżenia z dziewiętnastego grudnia przed huraganem czwartego stopnia w skali Saffira-Simpsona. W nocy zwiększył on siłę do piątego. Uderzy w Varsę około szesnastej. W związku z tym bezwzględnie nakazuje się udanie do najbliższego schronu do godziny piętnastej. Niedostosowanie się do tej instrukcji narusza artykuł dwunasty kodeksu cywilnego Wielkiej Konfederacji o nara-żeniu służb porządkowych na utratę zdrowia i życia i grozi grzywną w wysokości dziesięciu tysięcy koron federacyjnych.

Zmartwiła się. Mimo ogromnego postępu w zakresie bezpie-czeństwa czwarty stopień huraganu nadal stanowił zagrożenie dla współczesnej architektury. A przy piątym – duże zniszczenia były wręcz nieuniknione. Jeszcze wczoraj cieszyła się z tego, że dziś będzie

miała dzień wolny od pracy z racji zagrożenia huraganowego, ale teraz zaczęła się bać. Jeśli huragan uderzy bezpośrednio w jej wieżowiec, może stracić to mieszkanie, a nie stać ją było na wynajem innego.

Narzuciła na siebie rozciągniętą koszulkę, związała włosy w koński ogon i wstała. Dwie lampki nocne po obu stronach podwójnego łóżka zapaliły się jednocześnie, jak tylko dotknęła stopami miękkiego, żółtego dywanu. Otuliły one jasnoszare ściany sypialnej części pokoju przytłumionym światłem. Ich stożkowate klosze w kolorze słoneczników odbijały się w lustrzanych drzwiach samotnej szafy, ustawionej naprzeciwko łóżka.

– Viga, odsłoń okno.

Natychmiast usłyszała charakterystyczny dźwięk rolowania. Rozety na szybie, która zajmowała całą ścianę po prawej, ukazały wciąż jeszcze ciemne niebo i miejski krajobraz.

Las rozświetlonych wieżowców ciągnął się aż po zamgloną Zatokę Bałtycką na horyzoncie. Drapacze chmur tłoczyły się na każdym większym skrawku bezcennej ziemi niczym drzewa w zapomnianych lasach deszczowych, które walczyły ze sobą o światło. Samochody jeździły tłumnie po wielopasmowych drogach, wijących się jak piskorze na pięciopiętrowych mostach. Światła latarni i ruchu ulicznego, neonowe szyldy sklepów, ekrany wyświetlające reklamy, kolorowe choinki i sieci lampek świątecznych zajmowały każdy skrawek wolnej przestrzeni. Małe drony multimedialne, mrugające na czerwono, latały na różnych wysokościach i monitorowały miasto. Na poziomie chmur rządziły atmoboty – niewielkie roboty-ważki, które rzekomo oczyszczały atmosferę ze szkodliwych substancji. Stąd wyglądały jak wielka mgławica jasnoniebieskich diod, które migotały na niebie przez całą dobę.

Każdego dnia spoglądała na tę miejską dżunglę z wyraźnym nie-smakiem. Oddałaby pięcioletni zapas earl grey za to, by móc cofnąć się

w czasie o sto lat i zamieszkać na przedmieściu – otoczonym lasem, wypełnionym w miarę świeżym powietrzem i ciszą. Mogłaby się zrelaksować na łonie natury po całym dniu pracy. Z dała od wszechobecnego teraz zgiełku i smrodu. Niestety w tych czasach, kiedy drzewa stanowiły rzadkie eksponaty dostępne jedynie w wybranych ogrodach botanicznych, musiała pogodzić się z myślą, że nigdy nie spełni tego marzenia.

– Viga, zagotuj wodę.

Przestarzały czajnik elektryczny natychmiast odezwał się narastającym szumem. Jeśli miałaby wymienić tylko jedno swoje uzależnienie, z pewnością byłoby to picie mocnej, czarnej herbaty, którą pochłaniała litrami każdego dnia.

Podeszła do lodówki ukrytej w białej zabudowie kuchennej. Trzy podłużne żyrandole niemal ją oślepiły, gdy tylko wyczuły jej obecność. Świeciły tak mocno, że zobaczyłaby nawet najmniejsze okruszki na podłodze, gdyby tylko – jakimś cudem – takowe się na niej znalazły. Cuda te rzadko się zdarzały z racji jej pedantycznej natury.

Wyjmowała właśnie dżem o smaku truskawek, który nigdy nawet nie leżał obok tych owoców, gdy Rudy głośno upomniął się o swoje. Nappełniła mu miskę mokrą karmą ze sztucznie wyhodowanego drobiu i przez chwilę z uśmiechem patrzyła, jak kot się zajada. Uzupełniła mu wodę, by za chwilę się jej nie domagał.

W międzyczasie postawiła na ladzie swój ulubiony biały kubek z nadrukiem w postaci świątecznych, srebrnych misiów. Dostała go od ojca, gdy miała dziewięć lat, z okazji Bożego Narodzenia. Mimo iż nie potrafiła mu wybaczyć tego, co zrobił rok później, do dziś nie umiała rozstać się z tym prezentem.

Zapach bergamotki przyjemnie poślaskotał jej nos, kiedy zalała herbatę wrzątkiem. Uwielbiała ten aromat, nawet jeśli był całkowicie

sztuczny. W kilka minut przygotowała sobie grzanki z pseudo-dżemem o smaku truskawkowym i zasiadła do śniadania.

– Viga, przedstaw poranne wiadomości.

Na tle jasnoszarej ścianki za stołem pojawił się duży, interaktywny, hologramowy ekran. Przewijały się na nim kolorowe nagłówki kolejnych newsów telewizyjnych nadawanych przez Wielkie Centrum Medialne.

– Dziś wypada dziewięćdziesiąta rocznica tak zwanego Dnia Gniewu Ziemi. – Viga zaczęła czytać pierwszą wiadomość. – Dwudziestego grudnia dwa tysiące czterdziestego piątego roku seria potężnych trzęsień ziemi, wywołujących reakcyjne erupcje pomniejszych wulkanów i liczne tsunami, nawiedziła świat i na zawsze zmieniła bieg historii. Nie tylko brutalnie zakończyła III wojnę światową, ale przede wszystkim drastycznie zmieniła sytuację geopolityczną i ekonomiczną...

– Nie chcę tego słuchać. Dalej.

– O szóstej rano zaczął się kolejny całonocny protest grupy Zielonych przeciwko zaniechaniu walki z globalnym ociepleniem klimatu przez Zjednoczony Rząd Wielkiej Konfederacji. Protestujący maszerują dookoła siedziby gubernatora Varsy z hologramowymi szyldami i nawołują ZRWK oraz wszystkich obywateli, by się opamiętali. Utrzymują, że coraz częstsze i silniejsze huragany to ostrzeżenie, którego nie wolno lekceważyć. Twierdzą, że jeśli polityka gospodarcza i przemysłowa się nie zmienia, nadzieje kolejny Dzień Gniewu Ziemi, który tym razem nie oszczędzi nikogo...

– Mają rację, tylko co z tego? Już widzę, jak rząd spełnia ich postulaty, a ludzie zmieniają swoje nawyki. Dalej. Wyklucz wszystkie wiadomości, które są związane z rocznicą DGZ.

– Zgodnie z życzeniem włączam filtrowanie wiadomości.

Zosia wzięła tabletkę przeciwbólową, zaparzyła drugą herbatę, a potem sięgnęła po ostatnią brzoskwinię w koszyku. Zamierzała ją zjeść na deser. Uwielbiała ten aromatyczny owoc, na który rzadko mogła sobie pozwolić z racji jego wysokiej ceny.

– Kategoria: robotyka. Organizacja NieSI zebrała wszystkie wymagane podpisy przeciwko planowanej ustawie zezwalającej na masową produkcję humanoidalnej sztucznej inteligencji klasy S. Złożenie petycji obywatelskiej odbędzie się dziś o...

– O tym już trują od tygodnia. Dalej.

– Kategoria: genetyka. Dziś o szóstej rano w holu Centrum Genetyki Stosowanej odbyła się otwarta konferencja medialna z inicjatywy doktor Marii Vidal. Specjalistka w dziedzinie cytogenetyki stosowanej i inżynierii genetycznej przedstawiła na niej swój najnowszy wynalazek: resetor odnowy komórkowej (ROK). Dzięki niemu można przeprowadzić odmładzający zabieg odnowy komórkowej (ZOK).

Oczom Zofii ukazało się nagranie z konferencji. Prelegentka o południowoamerykańskiej urodzie przemawiała do mikrofonów z amerykańskim akcentem. W jej delikatnym głosie dało się słyszeć napięcie. Co jakiś czas nerwowo zakładała za ucho niesforne loki lub poprawiała swoją czerwoną garsonkę. Emanowała niepewnością, którą próbowała ukryć wyuczonymi gestami. Wodziła oczami od kamery do kamery. Wyraźnie starała się sprawiać wrażenie profesjonalistki, która traktuje poważnie swoich słuchaczy.

– Doktor Vidal przekonywała, że jej resetory, które można nazywać „nanorobotami młodości”, i zabieg, do którego są używane, to klucze do upragnionej przez ludzkość nieśmiertelności.

Drgnęła, gdy usłyszała ostatnie słowo, i przerwała jedzenie brzoskwini. Mimowolnie przypomniała sobie symbolikę tego owocu w starożytnej chińskiej mitologii. Mitologii, którą dobrze знаła za sprawą swego ojca. Z jakiegoś powodu uwielbiał jej o tym opowiadać,

najczęściej na dobranoc. Nawet podarował jej złotą zawieszkę w kształcie owocu brzoskwini na dziesiąte urodziny – ostatnie, na których był. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że przepadła jej ona dwa miesiące później. Zosia nie pamiętała już, czy sama ją zgubiła, czy straciła ją w inny sposób. Wiedziała tylko, że nie cieszyła się tym prezentem zbyt długo.

– Na czym polega ZOK? Przywraca organizm pacjenta do stanu z pierwszego zapisu. Zabieg wykonywany jest w inkubatorze odnowy komórkowej (IOK) za pośrednictwem płynu LAKA-32 i przy użyciu danych z indywidualnego aktywatora resetorów (IAR). Płyn LAKA-32 to swoisty zbiornik resetorów, przewodnik umożliwiający ich wstrzyknięcie do ciała. IAR to dysk z parametrami ciała pacjenta, zapisanymi jeszcze przed właściwym zabiegiem. Jak to działa? Jeśli dwudziestolatek zapisze swoje dane na IAR-ze, a potem skorzysta z ZOK-u dziesięć lat później, jego ciało powróci do stanu sprzed dekady. Innymi słowy odmłodzi się do dwudziestki. Niestety ZOK trzeba powtarzać, minimum co...

– Starczy. Zatrzymaj i zakończ prezentację wiadomości.

Nie miała zamiaru tego słuchać ani próbować zrozumieć, jak działa ZOK. Wynalazek doktor Vidal przestał ją interesować, gdy tylko usłyszała, do czego służy. Należała do zagorzałych przeciwników idei nieśmiertelności, którą uważała za wyjątkowo szkodliwą. Zarówno dla Ziemi, jak i samych ludzi.

Włożyła talerz do zmywarki, a następnie ręcznie umyła bezcenny kubek. Zgarnęła wszystkie okruszki, jakie pozostawiła na blacie, i wytarła go na błysk. Pościeliła łóżko, odkurzyła dywan z kociej sierści, wyczyściła Rudemu kuwetę i podlała dwie duże palmy doniczkowe przy oknie. Gdy upewniła się, że wszędzie już zapanował porządek, bez pośpiechu podreptała do łazienki.



Po niezbyt gorącym prysznicu jej ból głowy się zmniejszył. Leki zaczęły działać. Poczuła się na siłach, by trochę popracować. Dni wolne od pracy z powodu kataklizmów traktowała jak okazje do tego, by zrobić coś więcej, niż wymagano od stażystki w WCM-ie. Wiedziała, że bez wychodzenia poza zakres swoich obowiązków nie zdobędzie jednego z dwóch wakatów w dziale dziennikarstwa śledczego. Oprócz niej walczyło o nie wielu zdeterminowanych kandydatów, gotowych zadeptać tych mniej pracowitych. Nic dziwnego. W tych czasach każdy dziennikarz marzył o pracy w tej gigantycznej korporacji.

Wielkie Centrum Medialne – największa, najbardziej szanowana instytucja tego typu na świecie – gwarantowało rozwój zawodowy, prestiż i adekwatne do niego zarobki. Dlatego, mimo iż przygłębiała ją korporacyjny wyścig szczurów, postawiła sobie za cel zdobycie tej pracy i spełnienie swoich dziennikarskich ambicji.

Przestałaby się wreszcie martwić o to, czy wystarczy jej na czynsz i raty kredytu, który musiała zaciągnąć na czas studiów. Życie w Varsie nie należało do tanich. W mniej liczących się firmach medialnych dostałaby tak niską pensję, że musiałaby dorabiać. Nie chciała tego. Nie po to harowała jak wół na studiach i wywalczyła sobie staż w WCM-ie, aby potem pracować na dwa etaty, i to byle gdzie. Była zdeterminowana, by za wszelką cenę uniknąć biedy, której smak tak dobrze знаła.

Na samą myśl o stawce w tej „stażowej grze” poczuła się zmobilizowana do działania. Zabierała się za napisanie tego artykułu od kilku dni, ale dopiero dziś miała czas, by do niego przysiąść. Zamierzała dzięki niemu zabłysnąć po przerwie świąteczno-noworocznej. Liczyła na to, że spodoba się on jej opiekunowi stażu. Gdyby udało jej

się trafić w jego gust, mogłaby wyróżnić się spośród innych i zwiększyć swoje szanse na zdobycie upragnionego wakatu.

Nie zwlekała z realizacją tego planu. Zasiadła przy biurku i włączyła stacjonarny komputer. Wyglądał jak dawno zapomniana płyta CD zatopiona w szkłe, a sterowało się nim za pomocą hologramowego ekranu oraz klawiatury dotykowej. Zosia już miała zabrać się za przeglądanie sieci w poszukiwaniu dobrego tematu na artykuł, kiedy nagle w jej mieszkaniu rozległ się głośny dzwonek. Męski syntezatorowy głos w kółko powtarzał jedno zdanie.

– Ktoś dzwoni, odbierz. Ktoś dzwoni, odbierz.

Spojrzała na swój mobilny komputer personalny, który leżał na stoliku nocnym. Przypominał dwa wewnętrzne, czarne aparaty słuchowe. Nie wyobrażała sobie życia na zewnątrz bez tego następcy supersmartfona. Pracy – w szczególności. W domu jednak służył on jej jedynie do rozmów telefonicznych i wideokonferencji.

Włożyła MKP-eta do uszu i wypowiedziała komendę pokazania szczegółów dzwoniącego. Przed jej oczami pojawiła się hologramowa, czarna wizytówka z pustym zdjęciem po lewej i czerwonym napisem „Numer zastrzeżony” po prawej. Zdziwiła się. Dawno już nie widziała tego komunikatu.

– Ktoś dzwoni, odbierz. Ktoś dzwoni, odbierz.

Kusiło ją, by to zrobić. Ostatecznie zdecydowała się zignorować ten telefon. Przypomniały jej się te wszystkie opowieści o oszustach, przez których ludzie tracili całe swoje majątki. Tylko dlatego, że odebrali jeden zastrzeżony numer i uruchomili tym samym złodziejską maszynę. Nie warto było ryzykować. Odrzuciła połączenie i zdjęła MKP-eta. Przygotowała sobie kolejną herbatę, a potem ponownie zasiadła do komputera.



Nie znalazła niczego ciekawego, choć szukała już od dwóch godzin. Natrafiała na same nudne, infantylne lub zbyt popularne tematy. Na-
dałyby się tylko na „michałki”, jak żartobliwie nazywano nieistotne
informacje w dziennikarskim gronie. Tymczasem ona potrzebowała
czegoś ambitnego, sensacyjnego, świeżego. Czegoś, co sprawi, że
jej opiekun zaniemówi z wrażenia.

A podobno sieć to kopalnia tematów.

Poza trudnościami ze znalezieniem inspiracji musiała zmierzyć
się z innymi niedogodnościami. Irytujące reklamy, które pojawiały się,
cokolwiek kliknęła, utrudniały jej przeglądanie serwisów naukowych,
forów dyskusyjnych i mediów społecznościowych. Mimo iż miała
zainstalowany program Bloklam, który teoretycznie powinien je
blokować. Kilkuminutowe przerwy w dostawie prądu spowodowane
złą pogodą za każdym razem zmuszały ją do restartowania mini-
modemu sieciowego, który nie umywał się do powszechnie używanych
nowoczesnych chipów internetowych, ale tylko on działał z jej kompu-
terem stacjonarnym. Oba te urządzenia były na tyle stare, że jej przy-
jaciółka Asia złośliwie nazywała je „sprzętem retro”. W dodatku
pewna puchata, ruda kuleczka robiła wszystko, aby ją zdekoncentro-
wać. Na przykład domagała się pieśszczot, ostentacyjnie spacerowała
przed ekranem lub głośno miauczała, by zwrócić na siebie jej uwagę.

I weź tu, człowieku, pracuj. No, nie da się!

Zosia miała ochotę zrezygnować, wyłączyć komputer i wrócić do
łóżka. Zamiast tego postanowiła pooglądać jakieś głupoty, aby się
zresetować, a potem wznowić „czesing”, czyli zbieranie informacji
do artykułu.

Zajrzała na portal AniTuba.wk. Przewijała animowane filmiki,
popijając szóstą dziś herbatę. Do momentu, aż film „Pimpus się

kąpie” przyciągnął jej wzrok. Nie dlatego, że tytuł był interesujący. Zaintrygowało ją to, że miał zero wyświetleń i reakcji, chociaż został opublikowany ponad tydzień temu. Uznała, że to statystycznie niemożliwe i wystąpił jakiś błąd. Kliknęła w link.

Zobaczyła bezsensowną animację o tym, jak tytułowy Pimpus – stary, niezdarny szympans – wchodzi do wanny, zjada brzoskwinie, a potem wychodzi z zielonej wody jako mała, żywotna małpka.

Rzeczywiście, szczyt ambicji. Ale to i tak dziwne, że ten filmik ani razu nie został wyświetlony. Choćby z ciekawości.

Już miała to wyłączyć, kiedy nagle na ekranie pojawił się mężczyzna w białej masce na tle szarej ściany i zaczął coś mówić zmienionym głosem. Zamrugła zaskoczona i posłuchała wyjaśnienia.

Okazało się, że animacja i tytuł stanowiły tylko przykrywkę, by oszukać cenzurę, i dopiero teraz będzie właściwy przekaz. Przekaz, który brzmiał tak:

Co słyszeliście o Li Tao i jego udziale w projekcie „Brzoskwinia”?

Założę się, że nic dobrego. Jeśli w ogóle coś. Szalony naukowiec, odpowiedzialny za śmierć 70 108 osób podczas nielegalnych eksperymentów. Aresztowany na swojej konferencji i osadzony w najpilniej strzeżonym więzieniu Wielkiej Konfederacji. Opluty przez media w każdy możliwy sposób. Wykreślony z listy uczelni, na której studiował, oraz z kroniki Nadzwyczajnej Ekipy Naukowej i Technologicznej, w której on i jego rodzina pracowali od trzech pokoleń. Czy kiedykolwiek usłyszeliście, czym on sobie na to zasłużył? W jaki sposób ci wszyscy ludzie umarli? Po co Li Tao miałby się chwalić porażką i śmiercią ludzi na swojej konferencji?

Nie? Nic? W takim razie ja wam to wyjaśnię. Jakim cudem? To proste. Byłem tam. Na tej nieszczęsnej konferencji ponad rok temu. Potem zaś poświęciłem cały swój czas na szukanie odpowiedzi, którymi nikt inny nie ośmielił się zainteresować.

Obraz zamaskowanego mężczyzny zniknął z ekranu. Zamiast niego pojawiło się tam archiwalne zdjęcie doktora Li Tao, któremu Zosia przyjrzała się z uwagą.

Niewysoki mężczyzna o azjatyckich rysach i krótkich włosach śmiało spoglądał w obiektyw swoimi przenikliwymi oczami. Postawa i uniesiona broda doktora Li ewidentnie zdradzały jego pewność siebie. W eleganckim, białym garniturze i koszuli wyglądał bardziej jak model niż naukowiec. Powagi odejmował mu również stosunkowo młody wiek. Zosia dałaby mu najwyżej czterdzieści lat.

Po chwili zamiast zdjęcia znów ujrzała tamtego zamaskowanego mężczyznę. Z zainteresowaniem wysłuchiwała jego dalszej wypowiedzi:

Pamiętam dzień konferencji doktora Li Tao, jakby to było wczoraj. Pracowałem jako redaktor WCM-u. Czułem się wyróżniony, gdyż wstęp miały tam tylko wybrane osoby – znani naukowcy i nieliczni przedstawiciele mediów. Wydarzenie to miało dotyczyć tajemniczego projektu naukowego pod nazwą „Brzoskwinia” – współtworzonego przez doktora Li Tao i innych naukowców, którzy nie zostali wymienieni. Nikt z nas o tym wcześniej nie słyszał, więc wszyscy byliśmy ciekawi, o co chodzi. Ku naszemu zdumieniu – doktor Li zaczął konferencję od czegoś zupełnie innego.

Zapowiedział, że najpierw ujawni nam tajne działania NENIT-u i rządu. Miało to ponoć ścisły związek z tym projektem. Byliśmy zaskoczeni i dość sceptycznie nastawieni, mimo to słuchaliśmy uważnie.

Wstęp zabrzmiał groźnie. Rzecz dotyczyła jakiegoś dużego zagrożenia, którego NENIT i rząd byli od dawna świadomi, ale nie chcieli, by dowiedziela się o nim opinia publiczna. Wspomniane plany wiązały się z rozwiązaniem tego problemu. Zdaniem doktora Li Tao – były one nie do zaakceptowania. Do tego stopnia, że odszedł on z NENIT-u, jak tylko o nich usłyszał, i zaczął działać na własną rękę.

Niestety nie zdążyliśmy poznać żadnych konkretów, gdyż właśnie w tym momencie konferencja została przerwana przez policję federalną.

Nakazem rządu pana doktora aresztowano za niedozwolone eksperymenty na ludziach, podczas których rzekomo umarło 70 108 osób, i siłą wyprowadzono go z sali. Skonfiskowano wszystkie jego materiały, a potem zniszczono także nasze filmy, zdjęcia oraz notatki.

Następnie my, uczestnicy tego wydarzenia, zostaliśmy przesłuchani. Wszyscy po kolei. Gdy się okazało, że właściwie to nic nie wiemy, zostaliśmy wypuszczeni. Zobowiązano nas jednak do milczenia pod groźbą kary dożywocia. Tajemnica dotyczyła nie tylko samej konferencji czy projektu „Brzoskwinia”, ale także osoby doktora Li Tao. Nie wolno nam było o nim nawet wspominać. Później wybrani przez rząd dziennikarze dostali konkretne wytyczne, co mówić o Li Tao w mediach po

jego aresztowaniu, i od tego momentu tylko oni mieli do tego prawo. Słowem – cenzura na maksa.

Ale na tym nasza historia się nie skończyła. Zarówno naukowcy, jak i dziennikarze, którzy byli na konferencji, zostali wysłani na wcześniejsze emerytury niezależnie od długości stażu. Nie wiem, co się potem z nimi działo. Wiem, co spotkało mnie.

Nie dość, że nie mogłem pracować, to zostałem zmuszony do zamieszkania w innej dzielnicy Wielkiej Konfederacji, z dala od mojej rodziny. Policja obserwowała i dalej obserwuje to, co robię w realu i sieci, jakbym był jakimś kryminalistą. Nie mogłem pozwolić, aby tak to się skończyło. Nie byłbym sobą.

Musiałem odkryć prawdę. Po tym, co zobaczyłem i czego doświadczyłem, uwierzyłem, że to grubsza sprawa, a doktor Li Tao naprawdę wiedział coś, co nie mogło wyjść na światło dzienne. Poświęciłem więc pół roku na ostrożne dochodzenie. Bawiłem się z policją w kotka i myszkę. Zacząłem nawet udawać wariata, który gada od rzeczy. I w końcu rozwiązałem tę zagadkę, przeszukując internetowe podziemie.

Od tamtej pory staram się oszukiwać cenzurę i dzielić się z innymi swoją wiedzą. Okrężnymi drogami, po kryjomu, na różne sposoby. Ten film jest jednym z nich. Obejrzyjcie go do końca, dopóki jeszcze jest dostępny. Nie wiem, kiedy będę mógł wrzucić kolejny.

To tyle tytułem wstępu. Przejdźmy teraz do konkretnych. Zacznijmy od tego, o jakich planach rządu i NENIT-u chciał powiedzieć doktor Li...

W tym momencie nagranie się zatrzymało, a na hologramowym ekranie komputera wyświetlił się biały napis w szarej ramce:

Brak dostępu do internetu.

Sprawdź swoje połączenie internetowe, zrestartuj modem
lub skontaktuj się z dystrybutorem sieci.

Jeden rzut oka wystarczył, by się zorientować, że jej minimodem sieciowy się wyłączył. Zaklęła pod nosem. Spróbowała go zrestartować, ale bezskutecznie. Sfrustrowana sięgnęła po kieszonkowy identyfikator problemów technicznych, który wyglądał jak gruby, srebrny długopis. Przyłożyła jego końcówkę do modemu i uruchomiła skanowanie sprzętu elektronicznego. Po trzech minutach zobaczyła jasny komunikat:

Awaria rdzenia minimodemu.

Szansa powodzenia naprawy: 5%.

Zalecana wymiana urządzenia.

Złorzeczyła w myślach na złośliwość rzeczy martwych. Akurat w takim momencie, akurat w taki dzień musiała stracić dostęp do internetu.

Ja to mam szczęście. Normalnie powinnam zacząć grać w totka!

Ogarnęła ją złość. Zrobiła kilka rund po pokoju, by się uspokoić. Rozważała, co robić. Kupić lub naprawić minimodem już teraz czy zająć się tym dopiero w nowym roku? W pierwszym przypadku musiałaby to załatwić jeszcze dziś, wydać prawie wszystkie pieniądze, które miała na życie w tym miesiącu, pożyczyć parę stówek od Asi, by przetrwać do wypłaty, iść do sklepu lub serwisu w taką pogodę i jeszcze zrobić to wszystko najpóźniej do czternastej ze względu

na zbliżający się huragan. W drugim – pogodzić się z brakiem dostępu do internetu przez półtora tygodnia. To z kolei oznaczało, że przez cały ten czas nie będzie mogła obejrzeć tego filmu do końca, a przecież istniało ryzyko, że zostanie on usunięty w ciągu kilku dni.

Westchnęła. W takich chwilach żałowała, że nie stać ją było na nielimitowany internet mobilny dostępny tylko na MKP-ety. Usługa ta kosztowała dwadzieścia tysięcy koron federacyjnych miesięcznie. Gdyby Zosia ją miała, nie potrzebowałaby modemów i mogłaby w dowolnym miejscu korzystać z sieci. Niestety musiała się zadowolić minimalnym pakietem danych, który umożliwiał dostęp tylko do wybranych usług w sieci i za którego pomocą nie mogła obejrzeć tego filmu do końca.

Rozważała alternatywne opcje. Skorzystanie z internetu znajomych nie wchodziło w grę. Asia – jedyna osoba, do której mogłaby się zwrócić – nie korzystała z modemu ani domowego chipu internetowego, tylko z NIM-u. A tej usługi nie dało się udostępnić komuś innemu, ponieważ MKP-eta mógł używać jedynie jego właściciel. Teoretycznie Zosia miała możliwość podłączenia się do sieci zewnętrznych dostępnych w kawiarniach i sklepach, ale były one tak mocno zawirusowane, że wiązało się to z dużym ryzykiem uszkodzenia MKP-eta. Nawet pomimo posiadania całego zestawu antywirusów. Poza tym po zalogowaniu się do takiej sieci dostawałaby regularny spam reklamowy na pocztę. Ten zaś wyjątkowo ją irytował.

Ostatecznie doszła do wniosku, że musi kupić kolejny używany minimodem lub naprawić ten zepsuty. Jeszcze dziś. Nie chciała czekać do nowego roku i ryzykować, że wideo zostanie usunięte. W tym czasie mogłaby już zrobić rozeznanie w temacie i zacząć pisać artykuł. A im szybciej go napisze, tym bliżej będzie swego celu.

Przed wyjściem do jedyne go sklepu z używanym „sprzętem retro” w tym sektorze postanowiła najpierw zadzwonić. Po wysłuchaniu

irytującej marketingowej formułki o najlepszym komisie tego typu w Varsie i przywitaniu się z ekspedientem – Zosia przeszła od razu do sedna.

– Potrzebuję minimodemu sieciowego do stacjonarnego komputera, model zero osiem. Czy mają państwo taki na stanie?

– Zero osiem? Przykro mi, mamy jedynie dziesiątki. Modele starszego typu zostały wycofane ze sprzedaży dwa lata temu ze względów regulacyjnych, więc w żadnym komisie już pani takich nie dostanie.

– Pan żartuje!

– Niestety nie. Obawiam się, że musi pani sobie kupić modemową dziesiątkę lub chip internetowy. A także nowszy komputer, jak sądzę. Wie pani co, akurat mamy promocję...

Podziękowała i rozłączyła się, jak tylko ekspedient zaczął jej proponować hit sprzedaży w ich sklepie – używany komputer z odpowiednim chipem sieciowym za jedyne trzydzieści tysięcy koron federacyjnych.

Zakup nowszego komputera nie wchodził w grę ze względów finansowych. Musiałaby wziąć drugi kredyt. Zarabiała ledwo dwa tysiące koron federacyjnych miesięcznie, z czego na życie zostawiało jej trzysta. Nawet gdyby mogła coś odkładać, to zajęłoby to wiele miesięcy.

Jedynym ratunkiem była naprawa zepsutego minimodemu, obarczona wysokim ryzykiem niepowodzenia, ale przynajmniej możliwa do załatwienia już teraz.

Dopiero gdy to okaże się niemożliwe, rozważę drugi kredyt.

Obdzwoiła kilka znanych sobie serwisów w okolicy. Niestety żaden się nie zgłosił. Domyśliła się, że zostały zamknięte z powodu zagrożenia huraganowego. Niechętnie przeszła do listy punktów, które znajdowały się znacznie dalej. Wybrała ten sprawdzony, z którego już kilka razy skorzystała.

– Dzień dobry. Serwis Naprawiamy i Sprawdzamy. W czym możemy pomóc?

Zdziwiła się, gdy tylko usłyszała iście radiowy męski głos. Niski, głęboki, o ciepłej barwie. Nie do takiego przywykła. Zwykle odbierał starszy pan o imieniu Władysław, do którego ten serwis należał. Przywitała się więc z opóźnieniem.

– Dzień dobry. Chcę naprawić minimodem sieciowy do komputera stacjonarnego, model zero osiem. Najszybciej, jak to możliwe. Moje pytania brzmią: czy podejmiecie się naprawy i ile będzie to kosztowało?

– Koszt wyniósłby mniej więcej dwieście koron, ale to bardzo stary modem. Może być problem z...

– A jeśli zapłacę podwójnie? Proszę, bardzo mi zależy!

– Proszę pani, to bez znaczenia. Dopóki nie zobaczymy tego modemu, nie możemy zagwarantować naprawy. Dziś nasi kurierzy nie jeżdżą, więc musi go pani przywieźć osobiście, jeśli zależy pani na czasie. Do dwunastej. Potem zamykamy.

– Okej. Przywiozę go jeszcze dziś przed południem – zadeklarowała po szybkim sprawdzeniu godziny.

– Dobrze. Zatem zapraszamy.

Podziękowała i od razu pobiegła do szafy. Gdy pośpiesznie wkładała sportową niebieską sukienkę i sneakersy, nie myślała o burzy czy huraganie. Nie słuchała głosu rozsądku, który podpowiadał jej, że lepiej dziś nie wychodzić z domu. Założyła MKP-eta i maskę filtrującą, a także małe złote kółka, które dostała kiedyś od matki – jej rodzicielka wierzyła, że przyniosą jej szczęście, a ono było dziś Zosi bardzo potrzebne. Błyskawicznie spakowała minimodem, kartę płatniczą, klucze i parasol do szarego plecaka, a potem skierowała się do drzwi.

Ledwo przekroczyła próg mieszkania, kiedy w jej uszach rozległ się męski beznamiętny głos.

– Ktoś dzwoni, odbierz. Ktoś dzwoni, odbierz.

Niechętnie zerknęła, kto akurat w takim momencie postanowił do niej zadzwonić. Zdziwiła się, gdy po raz drugi tego dnia ujrzała napis „Numer zastrzeżony”. Prawdopodobnie ten sam, który już raz odrzuciła. Zignorowała połączenie i tym razem. Nie miała na to czasu.

Szybko wyszła z mieszkania, co automatycznie aktywowało funkcję ochronną Vigi. Lampy w kawalerce wyłączyły się same. Czarne drzwi z numerem tysiąc siedemdziesiąt dwa zamknęły się na dwa stacjonarne zamki i jeszcze jeden – otwierany tylko kodem. Nad wejściem zaczęło mrugać czerwone światelko alarmu.

Mobilna kamera ukryta w suficie korytarza odprowadziła Zofię do windy. Gdy tylko jej srebrne drzwi się zasunęły – zgasło oświetlenie na klatce schodowej.



Wjechała windą na najbliższy przystanek Podniebnej Kolei Miejskiej. Mieścił się na dachu wieżowca dwie przecznice od jej domu. Stalowy taras z białymi kopułami przypominał hybrydę Orbit Tower i Biblioteki Narodowej w Prisztinie. Ten konkretny przystanek, choć jak wszystkie pozostałe straszyl kiczowatą architekturą, nadrabiał ładnym widokiem na ruiny Pałacu Kultury i Nauki.

Pozostałości po nieco ponad dwustumetrowym zabytku, wyłaniające się z gęstego smogu, wydawały się maleństwami w porównaniu do wieżowca, na którym Zosia się właśnie znajdowała. Miejsce to, podświetlone od dołu reflektorami, stanowiło ważny punkt w Varsie – polskiej dzielnicy Eurazji.

Eurazją nazywano obecnie jedną z czterech metropolii obok Amerydy, Pofryki i Monchin, które razem tworzyły Wielką Konfederację.

Ruiny pałacu przypominały mieszkańcom Varsy o epoce, w której rejon ten był samodzielnym państwem ze stolicą w Warszawie. Jedynie nieliczni wiedzieli, że stanowiły lokalny symbol zakończenia III wojny światowej i tylko dlatego nie zostały rozebrane. Głównie ci, którzy interesowali się historią – nauką niezbyt popularną w obecnych czasach. Wiedza większości obywateli zaczynała się dopiero w momencie, w którym ogłoszono nowy ład dla całego świata wraz z powstawaniem WK.

Zosia rozeznała się w rozkładzie jazdy na ekranie swojego MKP-eta, a potem skuliła w kącie zatłoczonej stacji. Musiała poczekać na siódmkę dziesięć minut, a już po dwóch miała ochotę stąd wyjść. Wszechobecny ścisk ją irytował. Nie mogła tu uniknąć żadnego przypadkowego ani intencjonalnego dotyku.

Po pięciu minutach zrobiło jej się gorąco. Zbyt gorąco. Nerwowo poprawiła swoją maskę z potrójnym filtrem, która zapewniała nieporównywalnie wyższy komfort noszenia niż te znienawidzone przez większość ludzi z czasów pandemii COVID-19 w latach 20. XXI wieku. Nie zmieniało to faktu, że korzystanie nawet z najlepszej maski na świecie w taki upał było katorgą. Nie miała jednak wyboru. Bez niej szybko trafiłaby do szpitala z powodu zatrucia skażonym powietrzem. Uroki życia w XXII wieku. Ludzkość sama to sobie zgotowała przez swoją chciwość i ignorancję.

Zorientowała się, że siódmka ma opóźnienie, i marudziła pod nosem. Czekala na nią nadal tylko dlatego, że dotarcie do tamtego serwisu pieszo zajęłoby jej trzy godziny, a do południa zostały już tylko dwie. Z taksówki zrezygnowała od razu, zwłaszcza że czekał ją nieplanowany wydatek.

Cholerne pociągi. Co z tego, że mogą jechać po czterysta na godzinę i wyglądają jak ultranowoczesne pociski, skoro się spóźniają?

Z braku lepszego zajęcia krytycznym wzrokiem oglądała wszędobylskie spoty marketingowe na tle zachmurzonego nieba. Wyświetlały się na hologramowych ekranach, które zajmowały przestrzeń powyżej tak zwanej linii głów. Wyglądały jak różnej wielkości telewizory wiszące nad miastem niczym złe duchy. Każdy z nich prezentował jakąś pstrokatą reklamę.

Oprócz ekranów nie brakowało interaktywnych billboardów na ścianach wieżowców ani neonów na lampach i słupach. W zasadzie treści marketingowe znajdowały się wszędzie i modyfikowały się zgodnie z wytycznymi algorytmów, które nieustannie skanowały preferencje osób w pobliżu. W połączeniu z bogatymi ozdobami świątecznymi tworzyły męczącą mieszaninę, od której można było się nabawić epilepsji. Mimo wszystko to internet wygrywał w konkurencji: każdy pusty skrawek przestrzeni to jeszcze jedno wolne miejsce na reklamę. Bez dwóch zdań.

Brzydziła się tym. Wścibskimi algorytmami i tym nachalnym marketingiem na dzień dobry i do widzenia. Rozumiała, że reklamy dźwignią handlu, ale co za dużo, to niezdrowo. Dziwiła się, że wciąż były skuteczne. Ją zniechęcały do konsumpcji, a nie odwrotnie.

Dla odmiany skupiła wzrok na ekranie przyczepionym do dachu przystanku. O dziwo nie wyświetlała się na nim reklama, tylko powtórka wczorajszego koncertu młodego wokalisty z koreańskiej dzielnicy Monchin. Z komentarzy pobliskich nastolatek Zosia wywnioskowała, że nazywał się Sam i cieszył ogromną popularnością wśród młodych. Nie słyszała jego śpiewu w tym hałasie, ale z uznaniem popatrzyła na choreografię.

Po dwudziestu minutach duszenia się w tym tłoku stwierdziła, że nie będzie już dłużej czekać, przy czym nie chciała rezygnować z naprawy minimodemu. Postanowiła zamówić taksówkę i zmarnować te pięć dych. Wzmagający się wiatr i pierwsze błyski na

niebie stanowiły dodatkowe argumenty za tym, by załatwić to jak najszybciej.

W momencie, w którym szukała odpowiedniego numeru na liście kontaktów, znajomy głos rozległ się w jej uszach.

– Ktoś dzwoni, odbierz. Ktoś dzwoni, odbierz.

Jakież było jej zdumienie, gdy ponownie ujrzała napis „Numer zastrzeżony”. Zmarszczyła brwi i odrzuciła połączenie. Tym razem nieprzyjemne uczucie zaniepokojenia pozostało z nią na dłużej.

Wybrała aplikację korporacji Taxi Varsa i już miała zamówić połączenie, kiedy na horyzoncie zobaczyła spóźnioną siódemkę. W ostatniej chwili cofnęła palec.

Przecisnęła się do brzegu przystanku i z ulgą patrzyła, jak pociąg ze spleśzczonym przodem zwalnia. Z kół nad jego dachem poleciały iskry. Maską ochroniła ją przed smrodem rozgrzanych hamulców, a MKP-et w uszach – przed głośnym piskiem. Nic jednak nie pomogło na zmasowany ścisk przepychających się pasażerów, gdy siódemka wreszcie się zatrzymała.

Czym prędzej wsiadła do czerwonego wagonu. Nawet nie próbowała szukać siedzenia. Wszystkie zostały już zajęte na pierwszych stacjach. Nie przejmowała się tą niedogodnością. Po zeskanowaniu biletu w MKP-ecie stanęła w rogu i złapała jedną ze zwisających gumowych rączek. Odtąd starała się „wyłączyć” poprzez oglądanie miejskich widoków za oknem, zapomnieć o tłumie w wagonie, nadciągającej burzy i huraganie, nie martwić się tym, co robi, jeśli minimodemu nie uda się naprawić. Z czasem jej myśli zaczęły krążyć wokół tej części nagrania, którą zdołała zobaczyć.

Kim jest Li Tao? Czym był projekt „Brzoskwinia”? Czy rzeczywiście zginęło przez niego tyle ludzi? Dlaczego rząd i NENIT zadali sobie tyle trudu, by utajnić badania tego doktora i zdyskredytować go w oczach opinii publicznej? Jakie zagrożenie rzekomo chcieli ukryć? Dlaczego zdaniem Li Tao

ich plany ratunkowe były nie do przyjęcia? Co się stało z tymi wszystkimi dziennikarzami i naukowcami?

Tyle pytań czekało na odpowiedzi, a ona straciła dostęp do internetu. Westchnęła, zirytowana tym po raz kolejny. Nic nie mogła poradzić na to, że technologia postanowiła odmówić jej posłuszeństwa. Zosia obiecała sobie, że poszuka informacji na ten intrygujący temat, choćby miała to zrobić dopiero po Nowym Roku. Nawet jeśli tamten film zostanie usunięty.

Zdawała sobie sprawę z tego, że to może być niebezpieczne. Ale nie przejmowała się tym. Lubiała wyzwania. Wierzyła, że bez ryzyka i odwagi nie ma dziennikarstwa śledczego. Czuła, że to jest to. Zagadkowa, śmierdząca na kilometr sprawa, która mogła okazać się zwykłą mistyfikacją, ale równie dobrze – aferą stulecia. Dzięki niej miałyby szansę zabłysnąć w WCM-ie. Nie potrzebowała większej motywacji.

Na drugim stopie wsiadło znacznie więcej ludzi, niż pozwalały na to możliwości wagonu. Skończyła wciśnięta w szybę. Dosłownie. Zaduch i ścisk stały się nie do zniesienia pomimo dobrze działającej klimatyzacji. Zosi zrobiło się słabo. Zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić, że warunki wcale nie są aż takie złe.

– Dobrze się pani czuje?

Obejrzała się na wysokiego chłopaka z gitarą w futerale na plecach. Przyglądał się jej sponad swojej białej maski z zaniepokojeniem. Podobnie jak brunetka, którą trzymał za rękę. Zosia mimowolnie zwróciła uwagę na jej staromodny warkocz i okulary, które rzadko kto jeszcze nosił, chyba że dla ozdoby.

– Tak. Nic mi nie jest – odpowiedziała mechanicznie.

Oboje pokiwali głowami i zajęli się sobą. Gdy zaczęli flirtować, wymieniać czułe gesty i słowa, odwróciła się do nich plecami i skupiła wzrok na niebieskich różach, które trzymała przy sobie blondynka,

stojąca obok niej. Nie chciała na nich patrzeć. Nie chciała podłuchiwać ich rozmowy. Znajdowali się jednak na tyle blisko, że mimowolnie usłyszała ich plany na rodzinne święta u niego w domu, zrobienie imprezy przebieranej dla znajomych w sylwestra i spędzenie Nowego Roku w górach.

Poczuła, jak ogarnia ją smutek. Jej ostatnie rodzinne święta odbyły się, gdy miała dziesięć lat. Odkąd jej ojciec zniknął bez słowa trzy dni później – nic już nie było takie jak kiedyś. Po wyprowadzce przyjeżdżała do domu rodzinnego na wigilię, dopóki żyła jej matka. Obie starały się spędzać ten czas możliwie jak najlepiej, choć różnie im to wychodziło. Od pięciu lat Zosia nie miała już dokąd jechać, chyba że na cmentarz.

Co prawda Asia zapraszała ją do siebie każdego roku, ale Zosia konsekwentnie odmawiała. Nie czuła się swobodnie w towarzystwie jej męża i dwójki dzieci. Zwykle więc spędzała ten czas na czytaniu reportaży e-booków. W tym roku jej plan wyglądał tak samo. Zazwyczaj jej to nie przeszkadzało. Nie myślała o tym za wiele. Tylko czasami chciałaby, aby jej święta wyglądały inaczej. Na przykład wtedy, gdy obserwowała ludzi ogarniętych przedświątecznym szaleństwem lub słyszała ich rozmowy na ten temat.

Zbliżała się do swojego przystanku. Błyskawice pojawiały się coraz częściej. Grzmoty stawały się dłuższe i głośniejsze. Wiatr przewracał sztuczne choinki w pobliżu sklepów, zrywał sieci lampek między wieżowcami i przesuwiał pieszych na chodnikach. Nastąpiło spodziewane urwanie chmury. Ulewa tworzyła rzeki na drogach, podnosiła studzienki i zakrywała jeżdżącym samochodom opony. Deszcz uderzał falami w szyby. Pasażerowie mruczelili między sobą, to ze strachu, to ze zniecierpliwienia. W powietrzu unosił się zapach stresu i potu. Zosia również poczuła dreszcz niepokoju. Pokonała jednak lęk, myśląc o celu, który skłonił ją do opuszczenia domu w taką pogodę.

Gdy pociąg się zatrzymał, wysiadła jako jedyna. Więcej chętnych na kwaśny prysznic nie było. Nie zdołała rozłożyć parasola. Wiatr wyrwał jej go z ręki, jeszcze zanim dotarła do windy na dachu tego wieżowca. Zmokła niemiłosiernie, choć zrobiła zaledwie kilkanaście kroków.

Brawo, Zośka, brawo. Nie ma to jak parasol w czasie wichury, prawda? Było wziąć pelerynę.

Mimo wszystko nie zawróciła. Skoro dotarła już tak daleko, skoro i tak już przemokła do suchej nitki, to chciała przynajmniej doprowadzić swoje zadanie do końca.



Dochodziła jedenasta trzydzieści, gdy Zosia dotarła na miejsce. Znajdowało się ono na parterze owalnego wieżowca, w którym obok wejścia do centrum handlowego mieściły się pojedyncze salони usługowe i niezależne butiki.

Wkroczyła do środka ostrożnym krokiem. W mokrych sneaker-sach ślizgała się na kafelkach jak na lodzie. Rozejrzała się po zatłoczonym hallu i szybko namierzyła salon Naprawiamy i Sprawdzamy. Zwracał na siebie uwagę krzykliwym szyldem nad jasnoniebieskimi drzwiami oraz sporą ptasią klatką w oknie. Fruwała w niej mała, szara papuga, która – jak się okazało w środku – swoim głośnym skrzeczeniem nie odstraszała tylko najbardziej zdesperowanych klientów.

Zosia poczuła się w tym wnętrzu tak, jakby cofnęła się w czasie o sto pięćdziesiąt lat. Pomieszczenie wymalowane na niebiesko wyglądało na ciemne i stare. Przypominało składzik ze śrubkami, kablami, kartami oraz innymi bibelotami, z których konstruowano dawne modemy i komputery. Panował tu chaos, z grubsza uporządkowany na tanich półkach. Od razu zapragnęła tu posprzątać.

Nie kryła zdumienia, że serwis ten tak marnie się prezentuje. Nigdy wcześniej nie była tu osobiście. Zazwyczaj załatwiała wszystko przez internet jak większość klientów. Nie spodziewała się, że tacy dobrzy fachowcy pracują w tak nieciekawym miejscu.

Zdjęła maskę i poczuła zapach stęchlizny. Skrzywiła się, a potem podeszła do lady, przepraszając w duchu sprzątającego to miejsce za mokre ślady. Natychmiast napotkała rozbawione spojrzenie starego okularnika. Nie zdziwiła się jego reakcją. Wiedziała, że wygląda jak zmokła kura. Nie czuła się z tym komfortowo, ale starała się tego nie okazywać.

– Ach, dzień dobry! W czym mogę pani pomóc w taką piękną pogodę?

Po wesołym głosie poznała, że to pan Władek – szef serwisu, z którym zwykle rozmawiała przez telefon. Zwykle, lecz nie dziś.

– Z pewnym bezczelnym minimodemem, który postanowił nawalić w najbardziej odpowiednim momencie. Jestem Zofia Bystrzycka. Może mnie pan pamiętać. Kilka razy naprawiał mi pan komputer.

– Tak, oczywiście! Pamiętam. Pani Zosia, tak, tak. Miło panią poznać osobiście. To o jaki bezczelny minimodem chodzi?

– Sieciowy, model zero osiem. Dzwoniłam w tej sprawie przed przyjazdem, ale rozmawiałam z kimś innym.

Rozejrzała się za potencjalnym właścicielem tamtego cudownego głosu, ale nikogo poza właścicielem tego serwisu nie zauważyła.

– To zapewne był Igor. Niedawno go zatrudniłem. Niby artysta, a zna się na komputerach jak mało kto. Skubany.

– Artysta?

– Ach, pewnie nie powinienem o tym mówić. – Zreflektował się. – Jest na zapleczu. Zaraz go zawołam i niech się młodzież wykaże, a co!

Wzruszyła ramionami. Nie interesowało ją, kto się tym zajmie, byle to nie trwało długo. Czuła się brudna. Skóra swędziała ją od kwaśnego deszczu. Marzyła o prysznicu i czystym ubraniu.

W oczekiwaniu na fachowca-artystę przeglądała plakaty wiszące za stanowiskiem Władysława. Wszystkie przedstawiały znane samochody z dawnych czasów wraz z nazwami ich modeli. Na jednym widniała ciemnozielona mazda MX-5, na drugim był czerwony chevrolet corvette C2, na trzecim – niebieski garbus. Dalej już nie oglądała, gdyż ktoś właśnie się wyłonił z zaplecza i przywitał znajomo brzmiącym głosem.

Musiała zadrzeć głowę, by na niego spojrzeć. Jego postura daleka była od jej wyobrażenia artysty czy serwisanta. Pasowała ona bardziej do sportowca. Gdy się do niej szeroko uśmiechnął, odkryła, że nie tylko jego głos jest piękny.

– Podziwiam, że chciało się pani tu dziś przyjechać.

Nie odpowiedziała mu od razu. Zapatrzyła się w jego jasnozielone oczy, niezwykle rzadko spotykane. Dostrzegła w nich błysk i zaważające iskierki, które zapewne skusiły już niejedną kobietę.

– Czasem trzeba wziąć porządny prysznic.

Zarumieniła się z zażenowania, kiedy Igor się szczerze zaśmiał, a potem wymownie pokręcił głową. Gdy usiadła przy jego stanowisku pracy, sięgnął do szafki po ręczniki jednorazowe, położył je na blacie i pokazał jej gestem, by się nimi poczęstowała. Urwała miękki kawałek papieru i zaczęła się nim wycierać. Nie uszło jej uwadze, że pan majster ukradkiem śledził każdy jej ruch. Gdyby nie fakt, że wyglądała jak mop, wzięłaby to za oznakę zainteresowania. W tym stanie nie mogła być tego pewna.

– A tak serio, jeśli nie naprawicie tego minimodemu – kontynuowała, siląc się na oficjalny ton – będę musiała kupić także nowy komputer, a tego wolalabym uniknąć.

– Rozumiem sytuację. Proszę mi pokazać ten nieszczęsny modem. Zobaczmy, co da się zrobić.

Powrócił stres. Wyjęła z plecaka okrągłe zawiniątko i położyła je na biurku. Gdy Igor rozpakowywał kilka warstw folii i podłączał minimodem do swoich urządzeń, ona uważnie obserwowała jego pracę. Sądząc po tym, jak marszczył brwi podczas śledzenia parametrów, szansa na naprawę nie była zbyt duża.

Z każdą minutą coraz mniej zwracała uwagę na niepokojące sygnały o stanie jej minimodemu. Zamiast tego śmieiej przyglądała się samemu serwisantowi. I dopiero kiedy w pełni sobie uświadomiła, że nie może oderwać wzroku od tego uroczego bruneta, przywołała samą siebie do porządku. Nie chciała się rozpraszać podczas stażu, od którego zależała jej zawodowa kariera.

– Skończyłem. Niestety nie mam dobrych wieści. Uszkodzenie tego minimodemu jest zbyt poważne. Nie produkują już potrzebnych części. W związku z tym naprawa jest niemożliwa.

– Rozumiem – odparła rozczerowanym tonem, w którym nie było nawet krzty zaskoczenia. – Dziękuję za fatygę.

– Przykro mi, że nie możemy pomóc.

Poczuła, jak uchodzi z niej resztką energii do życia. Na samą myśl, że nie obejrzy tamtego filmu w najbliższym czasie ani nie uniknie drugiego kredytu w banku – rozboleła ją głowa. Musiała się z tym pogodzić. Komputer i internet były niezbędne w tych czasach.

– Mogę zostawić tu tego grata? I tak jest do wyrzucenia.

– Oczywiście, nie ma problemu. Może zamówić pani taksówkę?

Zawahała się. Po sprawdzeniu godziny uznała, że wystarczyłoby jej czasu, by wrócić komunikacją miejską. Nadal żałowała pieniędzy na taryfę. Przygnębiona niepowodzeniem nie chciała znowu moknąć i zmagać się z wichurą. Przystała więc na jego propozycję.

– Dobrze, już zamawiam. A jeśli pani sobie tego życzy, może pani skorzystać z naszego internetu w czasie oczekiwania na samochód. Zapewniam, że jest bezpieczny, to nasz służbowy.

– Naprawdę mogę?!

Oczy jej rozbłyły, gdy Igor wymienił porozumiewawcze spojrzenie z panem Władkiem, a potem uśmiechnął się do niej życzliwie. Poczowała przypływ nadziei, że w tym całym nieszcześciu uda jej się chociaż zobaczyć tamten film do końca.

Podziękowała za miły gest i skorzystała z tej nieoczekiwanej oferty. Wpisała do swojego MKP-eta siedmiocyfrowe hasło, które Igor jej podyktował, a potem szybko wyszukała wideo o Pimpusiu. Z bijącym sercem kliknęła w link, po czym zamarła, gdy na hologramowym ekranie wyświetlił jej się krótki komunikat:

Film usunięty.

Nie wierzyła własnym oczom. Minęły dopiero dwie godziny, odkąd ostatnio go oglądała. Spróbowała znaleźć inne filmiki z zeroowymi wyświetleniami lub pod hasłem „Pimpuś”, ale bezskutecznie. Wyłączyła internet i złapała się za głowę.

– W porządku? – zapytał Igor, zaniepokojony jej zachowaniem.

W odpowiedzi dała mu do zrozumienia, że to nic takiego. Wymienili uprzejme uśmiechy. Po jego spojrzeniu oceniła, że jej nie uwierzył. Mimo to nie dociekał. Zosia zapłaciła za usługę przeglądu i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Za chwilę miała być jej taksówka.

– Pani Zofio...

– Tak? – spytała odrobinę za nerwowo, błędząc już myślami wokół kredytu.

– Tak sobie myślę. Może... – zaczął i urwał na dźwięk dzwonka w swoim MKP-ecie. – Przepraszam, już nic. Muszę to odebrać. Życzę pani bezpiecznego powrotu i wesołych świąt.

Podziękowała mechanicznie i odprowadziła go wzrokiem na zaplecze. Czuła lekkie rozczerowanie, że nie dokończył tamtego zdania, ale nic nie mogła na to poradzić. Pożegnała się jeszcze z panem Władkiem i opuściła salon.



Srebrna toyota wyjechała z zakorkowanych pasów i skręciła w jej stronę. Na rejestracyjnym ekranie auta przesuwiał się czerwony napis: Taxi Varsa. Zosia skrzywiła się, gdy rozległ się głośny pisk hamowania. Poczekala, aż drzwi same się otworzą, wrzuciła do środka mokry plecak, a potem szybko wsiadła do taksówki, by jak najkrócej przebywać na deszczu. Zdjęła maskę i odetchnęła.

Chudzielec w czapce z daszkiem zerknął na nią z lekkim opóźnieniem. Właśnie przeglądał maile na swoim MKP-ecie. Gdy zobaczył, że jego klientka jest cała mokra, skrzywił się. Nie dlatego, że jej współczuł – to Zosia wiedziała. Zapewne żałował tapicerki swojego samochodu. Zwłaszcza że zamiast uprzejmego powitania usłyszała tylko krótkie pytanie, dokąd ma jechać.

– Ulica Marywilska, numer trzydzieści – odparła pośpiesznie.

Komputer samochodu piknął i automatycznie zapisał kurs, po czym pojazd sam wyruszył w drogę, na autopilocie. Kierowca poczekał, aż włączy się do ruchu, a następnie wrócił do przeglądania maili.

Niemal od razu utknęli w korku. Snuli się z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę i zatrzymywali co chwilę. Nie dziwiła się. Korki i ściana wody, która lała się z nieba, wymuszały zmniejszenie prędkości. Zdumiewało ją za to coś innego – ostry zapach potu,

którym emanował kierowca. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że w XXII wieku wciąż zdarzały się przypadki, dla których podstawowe zasady higieny były wiedzą tajemną.

Obserwowała szalejącą burzę za oknem, wsłuchiwała się w łomot deszczu i błędziła myślami wokół wydatków, jakie ją czekały w nowym roku. Głowiła się, skąd weźmie pieniądze na raty drugiego kredytu. Rozważała większą pożyczkę od Asi. Szybko jednak z tego zrezygnowała na rzecz dodatkowej pracy jako copywriterka. Przynajmniej do czasu spłacenia nowszego komputera i najtańszego chipu internetowego. Mdlilo ją na samą myśl o pisaniu tekstów promocyjnych, ale tylko w ten sposób miała szansę w miarę szybko zażegnać kryzys. Nie mogła podjąć pracy, która kolidowałaby z jej stażem.

Westchnęła. Zapowiadał się wspaniały początek roku. Osiem godzin pracy plus przynajmniej dwie dodatkowe godziny na artykuł i ze cztery na copywriting, czyli w sumie czternaście godzin dziennie. Resztę czasu zajmą dojazdy, jedzenie i sen – w tej kolejności. I tak dzień w dzień, przez minimum dwa miesiące.

Czy może być gorzej?

Miała ochotę kupić rum i się nim upić, choć nie lubiła alkoholu. Jedynie perspektywa wywalczenia etatu w WCM-ie dodawała jej otuchy i wiary, że warto się przemęczyć, aby potem już nie mieć takich zmartwień.

Znudzony korkami i ciszą kierowca włączył radio. Zosia przewróciła oczami, gdy rozległa się discopolowa muzyka, której nie znosiła. Poprosiła o jej ściszenie, a potem wróciła do świata swoich myśli.

Skupiła wzrok na alei drzewieży – oplecionych sieciami niebieskich lampek, którymi wiatr rzucał na wszystkie strony. Właśnie się pod nimi zatrzymali. Za każdym razem, gdy widziała te wysokie metalowe konstrukcje przypominające dęby, ogarniał ją smutek.

Uważała za katastrofę fakt, że kilka dekad temu wycięto niemal wszystkie drzewa na świecie. W międzyczasie warunki środowiskowe zmieniły się tak bardzo, że obecnie wyhodowane w szklarniach sadzonki nie chciały rosnąć na zewnątrz, przez co odbudowa zieleńców i lasów okazała się niemożliwa.

Ludzie musieli zacząć stawiać sztuczne drzewa – te mało urodziwe wieże z drucianymi gałęziami – które filtrowały powietrze, aby we współczesnych metropoliach dało się w ogóle żyć. Najnowocześniejsze filtry pochłaniały nadmiar dwutlenku węgla oraz trujące substancje pochodzące między innymi ze spalin samochodowych, napędzanych tak zwaną sztuczną benzyną. W zamian drzewieże wypompowywały tlen. Pożerały przy tym niebotyczne ilości energii elektrycznej, przez co stale budowano nowe geotrownie, a te, które już istniały, miały problemy skutkujące przerwami w dostawie prądu do mieszkań.

Drzewieże robiły co w ich mocy, ale w żadnym wypadku nie dorównywały lasom ani oceanom, które przez stulecia radziły sobie z ludzkimi emisjami zadziwiająco dobrze. Najlepsze dowody na ich niską skuteczność Zosia widziała na co dzień: wszechobecny smog, konieczność używania masek i częste opady kwaśnego deszczu.

Po kolejnym postoju w korku kierowca zaproponował dłuższą trasę, ale za to mniej zakorkowaną. Zgodziła się. Zostało już tylko półtorej godziny, zanim będzie musiała iść do schronu. Nie chciała ryzykować, że nie zdąży się nawet umyć, przebrać czy zjeść kanapki.

Skręcili w prawo i wjechali na alternatywną autostradę, wybudowaną wzdłuż wybrzeża Zatoki Bałtyckiej. I rzeczywiście znacząco przyspieszyli.

Zosia chętnie przeniosła wzrok z miejskiej dżungli na morze, które jeszcze sto lat temu zaczynało się około czterysta kilometrów

na północ stąd. Wpatrywała się w wysokie fale, w których odbijały się światła latających dronów oraz błyskawice. Lubiła widok wody sięgającej aż po horyzont. Przywoływał nostalgię nawet w czasie burz, za którymi nie przepadała.

Niegdyś morza i oceany były domem dla niezliczonych gatunków zwierząt, a także źródłem pożywienia dla ludzi. Wytwarzały tlen razem z lasami. Dziś już nie pełniły prawie żadnej z tych funkcji. Z daleka wyglądały tak samo jak te, które Zosia widziała na filmach z przeszłości. Wystarczyło tylko zanurkować w ich zakwaszonych wodach, by się przekonać, że to złudzenie. Pływały w nich wyłącznie meduzy i mikroby. Wszelkie ryby, ssaki morskie i koralowce, które zdołano ocalić przed zagładą, były teraz rzadkimi okazami w miejskich akwariach.

Morska woda nie nadawała się już nawet do odsalania w celu pozyskania tej pitnej z powodu silnego zanieczyszczenia. Oczyszczanie jej było możliwe, ale tak drogie, że żadna z metropolii Wielkiej Konfederacji się tego nie podjęła. Nic więc dziwnego, że słodka woda stała się cenniejsza od złota i każdy mieszkaniec WK miał obecnie do dyspozycji tylko czterdzieści litrów dziennie na wszystkie swoje potrzeby.

Jak można było posunąć się aż tak daleko? W imię czego? Konsumpcji, władzy, pieniędzy i tak zwanego rozwoju cywilizacyjnego?

Najbardziej przerażało ją to, że zachłanność ludzka nie znała granic. Ambicje najbogatszych i żądných władzy sięgały znacznie dalej. Nie chciała wiedzieć, dokąd one ostatecznie zaprowadzą mieszkańców tej planety.

– Dojechaliśmy. – Głos kierowcy wyrwał ją z zamyślenia. – Siedemdziesiąt koron.

– Ile?! Ostatnio było pięćdziesiąt...

– Ostatnio nie było takiej pogody. Szybko, mam kolejne zgłoszenie.

Skrzywiła się z dezaprobatą i wyjęła kartę płatniczą. Z bólem serca pozbawiła swoje konto siedmiu dych, założyła maskę, a potem z irytacją w głosie pożegnała się z taksówkarzem. I choć od drzwi toyoty do wieżowca dzieliło ją tylko kilka metrów, to zdążyła zmoknąć ponownie. Niemal do suchej nitki.

Redakcja: Ola Juryszczak – Olajuryszczak.com
Pierwsza korekta: Barbara Wrona – Tekstnanowo.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszcak – Zyszcak.pl
Druga korekta: Aga Dubicka (romantyczny.akapit@wp.pl)

Projekt okładki: Marta Żurawska – @zurawska_marta_illustrator (Instagram)

Copyright © Wydawnictwo Vibe, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie
z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów
niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-968690-4-3